MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 13. WARSZAWA, 30 MARCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

FRANCJA I WŁOCHY

W CHWILI, gdy to piszemy, konferencja morska w Londynie nie jest jeszcze ukończona. Jest jednak już rzeczą oczywistą, że nie doprowadzi ona do porozumienia między pięcioma państwami, których przedstawiciele biorą w niej udział. Zadania swego przeto konferencja ta nie spełni. Mimo to będzie ona punktem zwrotnym w rozwoju polityki powojennej. Okazało się bowiem w trakcie jej trwania, że istotne i decydujące interesy wielkich mocarstw nie dadzą się pogodzić lub ograniczyć metodami, w których skuteczność zaczęto wierzyć pod wpływem duchów genewskich i lokarneńskich. Trzeba będzie powrócić do metod odwiecznych, trzeba będzie powrócić do stosowania się do prawa równowagi politycznej, do organizowania sił własnych i do sojuszów. Europa przekona się o tem z większą jeszcze wyrazistością po dniu 30 czerwca, gdy Francuzi opuszczą Moguncję, a Niemcy, uzyskawszy swobodę poruszeń politycznych, zaczną organizować z większem niż dotychczas natężeniem akcję przeciw ustanowionemu na naszym kontynencie po wojnie układowi politycznemu.

W czasie trwania konferencji londyńskiej ujawniły się też sprzeczności między wielkiemi mocarstwami, zarysowały się przyszłe możliwości we wzajemnych między niemi stosunkach. W tem miejscu chcemy wskazać na spór francusko-włoski. O niemożność dojścia do zgody na tle zbrojeń morskich między Francją a Włochami rozbije się prawdopodobnie konferencja londyńska. Ta niemożność jest wyrazem i następstwem stosunków politycznych między dwoma narodami łacińskiemi, nic też dziwnego, że antagonizm między niemi ujawnił się na konferencji, dotyczącej zbrojeń na morzu, wszak materjału do nieporozumień między niemi dostarczają ich wzajemne stosunki na morzu Śródziemnem i na jego wybrzeżach.

*

Przyszły układ stosunków między Francją a Włochami jest sprawą wielkiej wagi dla przyszłości Europy. Okaże się to z całą oczywistością wówczas, gdy będzie przemijał okres genewski w polityce europejskiej, gdy natomiast zacznie się okres szukania równowagi przez sojusze. Czas ten jest już bliski, trzeba więc już dziś rozważać problematy, jakie przez tę przemianę będą wysunięte na porządek dzienny.

Czynnikiem, który zmusi Europę do organizowania się politycznego na nowych podstawach, będą Niemcy, które dziś już pracują nad skupieniem, oczywiście pod swem kierownictwem, sił, zmierzających do przywrócenia przedwojennego układu w Europie. Pierwszem zaś zagadnieniem dziejowej doniosłości, jakie obóz zwyciężonych w wielkiej wojnie, obóz zwolenników zwalenia nowego układu politycznego i granic na naszym kontynencie wysunie na plan pierwszy, będzie projekt rozbioru Polski.

Nie jest dziś możliwe do przewidzenia, jak będzie wyglądał obóz, który się zorganizuje pod hasłem obrony nowej, powojennej Europy i utrzymania układu terytorjalnego, ustanowionego przez

traktaty, podpisane w roku 1919 w Paryżu, obóz przeciwników rozbioru Polski. Można z dużem prawdopodobieństwem przypuścić, że w chwili decydującej odrodzi się koalicja, podobna do tej, jaka była w roku 1914, bo zasadnicze czynniki, wpływające na politykę państw, i ich zasadnicze interesy tak prędko się nie zmieniają. Lecz trzeba pamiętać o tem, że w czasie samej wojny i po wojnie odbyły się w Europie wielkie przemiany, że przeto niekoniecznie musi się powtórzyć to, co było w roku 1914. Wystarczy wskazać na głęboki, rewolucyjny przewrót, jaki się odbył w Rosji i we Włoszech, co niewątpliwie wpłynąć musi także na politykę zewnętrzną tych dwóch państw. Trzebaby też rozważyć, czy rozstrzygnięcia, wprowadzone przez traktaty z r. 1919 wytrzymały dwunastoletnią już prawie próbę.

To wszakże można już dziś powiedzieć z całą pewnością, że siła, spoistość i znaczenie obozu, który będzie bronił nowego, powojennego układu stosunków w Europie, powiedzmy wyraźnie: obozu przeciwstawiającego się dążeniom rewizyjnym Niemiec i rozbiorowi Polski, zależeć będzie w pierwszym rzędzie od tego, jak się ułożą stosunki między Francją a Włochami. Współdziałanie polityczne tych dwóch państw położy tamę dążeniom rewizyjnym Niemiec, współzawodnictwo między niemi wytworzy położenie bardzo korzystne Niemców, poprostu może rozstrzygnąć o powodzeniu zamierzeń polityki niemieckiej. Z tego zaś, cośmy powyżej powiedzieli, wynika z dostateczną jasnością, jakie znaczenie dla polityki polskiej mają stosunki włosko-francuskie.

*

Dziś, jak to wykazał przebieg konferencji londyńskiej, stosunki te nie są dobre. Rosną po obydwóch stronach podejrzenia, zaostrzają się konflikty. Między Francją a Włochami istnieje materjał do konfliktów na dwóch płaszczyznach: na morzu Śródziemnem i jego wybrzeżach, oraz na podstawie różnicy ustrojów wewnętrznych. Francja posiada olbrzymie państwo kolonjalne w Afryce, a nie posiada przyrostu ludności; Włochy mają na wybrzeżu afrykańskiem mały i słabo nadający się do kolonizacji obszar, natomiast przybywa im prawie pół miljona ludzi rocznie. Stąd z konieczności wypływa dążenie Włoch do ekspansji na wybrzeżach morza Śródziemnego, co godzi w stan posiadania francuskiego. Na tej płaszczyźnie agresywność jest po stronie Włoch.

Inaczej jest na terenie zagadnień wewnętrznych. Francja posiada ustrój republikański, jej polityka jest oparta na ideologji Wielkiej Rewolucji, w jej życiu wewnętrznem dużą rolę odgrywa wolnomularstwo. Włochy monarchiczne i faszystowskie opierają swą politykę i swe życie publiczne na ideologji zupełnie innej, na walce z tem, co w myśl europejską wniosła Wielka Rewolucja; państwo włoskie usunęło wolnomularstwo od wszelkich wpływów. Te sprzeczności odgrywają o wiele większą rolę, niż się wielu ludziom wydaje, są one momentem conajmniej w równym stopniu decydującym o stosunkach francusko-włoskich, jak konflikt interesów na morzu Śródziemnem. Wiele objawów wskazuje na to, że przyszłe wojny w Europie mogą być w pewnym sensie tego określenia wojnami „religijnemi", to znaczy wojnami prowadzonemi w imię różnych „wiar" spełecznych i politycznych. Na tej płaszczyźnie agresywność jest po stronie Francji.

*

Kto zna geografję i historję, kto wejrzy w przyczyny zadrażnienia (bo przedwcześnie jeszcze mówić o zatargu) włosko-francuskiego, ten dojdzie z pewnością do wniosku, że usunięcie tego zadrażnienia i doprowadzenie do zupełnego współdziałania między Francją a Włochami nie jest rzeczą łatwą. Lecz trzeba sobie powiedzieć, że polityka polega na załatwianiu rzeczy trudnych, na rozwiązywaniu zadań skomplikowanych. Zresztą rozwój wydarzeń może przyniesie niejedną przemianę.

Dziś Francja prowadzi politykę porozumienia z Niemcami i dąży do zabezpieczenia swej granicy wschodniej przez różnego rodzaju pakty, układane pod natchnieniem duchów genewskich i lokarneńskich. Lecz zbliża się już czas, gdy się okaże, że porozumienie z Niemcami można utrwalić i wzmocnić tylko na gruzach Państwa Polskiego, gdy się okaże, że wszelkie pakty i traktaty, gwarantujące bezpieczeństwo międzynarodowe i całość terytorjalną państw, są tyleż warte, co traktat, gwarantujący poszanowanie neutralności Belgji, podarty w r. 1914. Wówczas będzie musiała polityka francuska zastosować inne metody i szukać innych sposobów zabezpieczenia swojej granicy wschodniej, o którą toczą się walki między światem germańskim a romańskim od czasu pierwszych starć między Cezarem a Ariovistem. Wówczas — jak słusznie zauważył włoski pisarz Coppola—będą żołnierze włoscy nad Renem z pewnością lepszą gwarancją dla bezpieczeństwa Francji, niż protokuł genewski, pakt Kelloga i pakty lokarneńskie. Włosi zaś pamiętają dobrze o tem, że zastępy wojowników germańskich już wiele razy przechodziły Alpy i zjawiały się na półwyspie Apenińskim. Pewien wybitny polityk włoski mówił piszącemu te słowa, że byłoby największym błędem państw, zagrożonych przez dążenia rewizyjne Niemiec, pozwolenie na to, by zostały pozbawione owoców zwycięstwa z r. 1918 kolejno i stopniowo. Gdyby padła Polska, a potem Francja, to skończyłoby się na tem — dodawał, że Włochy stałyby się parkiem spacerowym dla turystów niemieckich. Niebezpieczeństwo hegemonji niemieckiej w Europie, interesy kontynentalne Francji i Włoch, oto czynniki, na których można zbudować współdziałanie między

temi dwoma państwami. Warunkiem tego współdziałania wszakże jest porozumienie między niemi na morzu Śródziemnem. Można tu przypomnieć pewną analogję: współdziałanie Rosji i W. Brytanji w roku 1914 stało się możliwe dzięki układowi co do podziału wpływów na terenie Persji.

Kto wie, czy doświadczenia zdobyte przez kierowników polityki dwóch krajów łacińskich w Londynie nie staną się punktem wyjścia do rozpoczęcia rozmów, które wprowadzą na nowe tory stosunki między Francją a Włochami. Pobyt p. Grandiego w Londynie przyniósł mu z pewnością wiele nowych doświadczeń; to zaś, co wiemy o dążeniach p. Tardieu, pozwala wnioskować, że może się on stać czynnikiem, wprowadzającym nowe pierwiastki w stosunki francusko-włoskie.

Z punktu widzenia polskiego możnaby tylko z wielkiem zadowoleniem powitać próbę rozpoczęcia nowej ery w stosunkach włosko - francuskich.

STANISŁAW KOZICKI

KWESTJA NIEPODLEGŁOŚCI INDYJ

WIADOMOŚCI, jakie codziennie niemal donoszą dzienniki o wydarzeniach w Indjach i wzmagających się tam nastrojach przeciwangielskich, pozwalają przypuszczać, że rola Anglji, królowej mórz i dominjów, zaczyna kończyć się na półwyspie indyjskim. Jeśli dzisiaj imperjum brytyjskie zawdzięcza swoją potęgę w głównej mierze Indjom, to czem będzie ono, jeśli będzie musiało skurczyć się kiedyś o 622 miljonów akrów, tzn. o obszar Indyj?

Zanim czas—a właściwie Hindusi—rozstrzygną tę kwestję, co prędko prawdopodobnie jeszcze nie nastąpi, rozważmy, w jakiej sytuacji znajdują się obecnie Indje, jakie mają warunki i perspektywy co do ewentualnego wyzwolenia się z pod władzy angielskiej, otrzymania niepodległości i utrzymania tejże. Trudno w tej sprawie odpowiedzieć wyczerpująco, jeszcze trudniej wyznaczyć stopień prawdopodobieństwa naszych przewidywań. Tajemniczy Wschód kryje w swem łonie jeszcze wiele niespodzianek poza temi, które wyłoniła nam wojna światowa. Z ogólnych jednak założeń można w tym wypadku dojść do ogólnych wniosków.

Indje w zamierzchłej przeszłości, w czasie powstawaniu Wed i Upaniszadów, i później jeszcze w okresie tworzenia się potężnego eposu — były szczęśliwemi. Hindusi, patrzący na wszelkie sprawy *sub specie aeternitatis*, oddani ascezie i kontemplacji *atmana*, nie mogli się jednak długo cieszyć wolnością. Począwszy od r. 326 przed Chrystusem, tzn. od wkroczenia Aleksandra Wielkiego do Indyj — poprzez późniejsze najazdy turków, muzułmanów w VII w. po Chr., Wielkich Mongołów aż do wkroczenia państw europejskich pod koniec XV w.— oto okres długiego niepokoju i niewoli Hindusów.

Dzisiaj zbliża się chwila, aby 320 miljonowy naród był wolnym i by swoje wartości moralne wniósł do ogólnego dorobku cywilizacji światowej.

Indje od XVI w. są traktowane jako teren kolonjalny i jako teren ekspansji zachodniego przemysłu i handlu. W końcu, po zażartych walkach między państwami europejskiemi o każdą cząstkę półwyspu, Indje stały się częścią wielkiego imperjum brytyjskiego na Dalekim Wschodzie. Angielski pająk położył swą sieć na kolosie indyjskim, spłątał ofiarę, aby odtąd ssać złoto szerokiemi strumieniami.

Ostatnie jednak lata, a nawet ostatnie miesiące okazują już całkiem niedwuznacznie, że Indje przestają być terenem kolonjalnym — że ta nazwa coraz mniej do nich przystaje, traci na aktualności. Hindusi mówią już zupełnie wyraźnie o republice indyjskiej. Rzeczpospolita indyjska jest celem dążeń narodowego kongresu hinduskiego i niedalekim jest może czas, kiedy Indje staną w szeregu nowo powstałych republik azjatyckich.

Dotychczasowa rola Indyj, jako kolonji, objektu ustawicznej rywalizacji potęg światowych, zbliża się ku końcowi. Jeżeli Indje zdołają w ciągu jednego pokolenia wyzbyć się dotychczasowej martwoty (a są już na dobrej drodze), jeżeli potrafią uzyskać wolność i utrzymać ją, pójść po linji wskazań Gandhiego a równocześnie zapożyczyć od Zachodu podstawy organizacji państwowej—to będzie to zaczątkiem nowej ery w życiu Dalekiego Wschodu i świata całego. Każdy naród zdaje się mieć własną misję do spełnienia w dziejach ludzkości. Indjom tę misję wskazuje ideologja Mahatmy Gandhiego.

Sytuacja w obecnej chwili jest w Indjach niesłychanie naprężona i trudna. W łonie setek miljonów narodu indyjskiego wre. Wybuch krwawej i nierównej może jeszcze walki w wysokim stopniu powstrzymuje działalność Gandhiego, który nie chce dopuścić do strasznego rozlewu krwi w walce o wolność. Lecz czy się mu to uda i na jak długą metę — niewiadomo.

Rząd angielski sam swoją nietaktowną polityką, niekonsekwencjami w różnych pociągnięciach, niedotrzymywaniem obietnic reformy konstytucji, stosowaniem gwałtu w tępieniu oporu mas, często bezbronnych, doprowadził do krytycznego dziś dlań stanu rzeczy. Niezadowolenie Hindusów i muzułmanów indyjskich przybrało ostre formy, jak wiadomo, po r. 1918, kiedy to rząd angielski szukał pomocy u Hindusów, aby odeprzeć niebezpieczeństwo na froncie wojennym — pomoc tę otrzymał, a wzamian, gdy minęło niebezpieczeństwo, przyrzeczeń reformy nie dotrzymał. Pod presją oburzonych Hindusów powstała reforma Montagu-Chelmsford w następnym roku, pozór raczej.

Po dziesięciu latach miała być stworzona specjalna komisja do zbadania, czy Indje dojrzały do samorządu i czy na to zasługują. Z początkiem 1928 r. komisja taka, pod nazwą komisji John'a Simon'a, udała się do Indyj. Do komisji nie weszli przedstawiciele hinduscy. To wywołało oburzenie w Indjach i utrudniło znacznie pracę komisji.

Komisja działała w myśl *Government of India Act* z r. 1919. Badała nastroje w poszczególnych prowincjach, zasięgała rady przywódców partyj hinduskich i t. d. Wszędzie prawie napotykała na niechęć i groźną postawę partji „swaradżystów" (zwolenników samodzielności).

Jak nieoględnie Anglja postępuje z Hindusami, świadczy fakt, że do komisji ustawodawczej *(Statutory Commission)*, stworzonej z początkiem 1928 r., nie weszli znów przedstawiciele partyj hinduskich.

Rząd angielski wobec powyższych faktów znalazł się w niebywale trudnej sytuacji. Wyłoniła się jeszcze jedna trudność. *Labour Party* odnosi się do ruchu narodowego hinduskiego z wielką sympatją i oświadcza, że chce iść mu na rękę.

Ogłoszona w prasie indyjskiej deklaracja wicekróla Irwinga, wygłoszona w Delhi, spotkała się znów z wielkiem niezadowoleniem części angielskieej opinji. Deklaracja utrzymana była w tonie bardzo pojednawczym i obiecująca jaknajdalej idące ustępstwa dla Hindusów.

Jak z tego widzimy, u Anglików niema jednolitości poglądów na sprawę Indyj niepodległych, co Indjom może wyjść na dobre.

Czego żądają Hindusi? Jak sobie samorząd wyobrażają? Oto zasadnicze wytyczne konstytucji, projektowanej przez *All Parties Conference* w lecie 1929 r. Według niej Indje przestałyby istnieć, jako cesarstwo, aby stać się Rzeczpospolitą Indyjską (*Commonwealth of India*). W republice indyjskiej wszelka władza pochodzi od narodu i wykonywana jest na mocy konstytucji. Zabezpieczona jest wolność osobista, religijna i wolność myśli. Wykształcenie elementarne ma być dostępne dla wszystkich za darmo. Senat składa się z 200 członków, wybranych na sześć lat przez rady prowincjonalne — izba poselska zaś z 500 reprezentantów, wybranych na lat pięć. Wybory są przeprowadzane zapomocą głosowania powszechnego, systemem proporcjonalnym. Do izby reprezentantów należy wgląd we wszelkie sprawy finansowe. Gubernator generalny wykonywa polecenia izby reprezentantów w porozumieniu z radą wykonawczą, złożoną z prezydenta ministrów, mianowanego przez gubernatora i sześciu ministrów, mianowanych z kolei przez premjera. Gubernator jest także naczelnym wodzem wojska. Prowincje mają gubernatorów, mianowanych przez króla, i rady ustawodawcze (1 członek na 100.000 mieszkańców). Każda prowincja ma organ wykonawczy z 5 ministrów. Podział na prowincje będzie dokonany na zasadzie językowej, według postulatów większości danej ludności.

Taka jest ogólnie treść tak zwanej relacji Nehru[1]).

Są to oczywiście najogólniejsze wytyczne pryyszłej konstytucji. Problem wolnej republiki indyjskiej jest nadzwyczaj skomplikowany — jest jednym z najtrudniejszych problemów w polityce światowej. Lata usilnej pracy z obu stron i dużo dobrej woli złożyć się muszą na rozplątanie węzła indyjskiego. Hindusi chca to załatwić jednem cięciem (partje skrajnie radykalne).

Wspomniana komisja Simona miała na celu zbadanie i orzeczenie, czy Indje zasługują na to, aby otrzymać samorząd. Lecz narazie nie doszła do pozytywnych wyników. Na kongresie wszechindyjskim 28 lipca 1929 r. w Allahabad, Gandhi oświadczył, że nadszedł już czas, aby złączyć wszystkie siły narodu i rozpocząć walkę z rządem angielskim na drodze pokojowej przez zupełne odmówienie współpracy z nim, w celu osiągnięcia konstytucji dominjalnej. Wielu gorliwych patrjotów hinduskich sądzi, że Indje są dojrzałemi do samostanowienia o sobie.

Zastanówmy się, czy jednak jest tak naprawdę. Przeszkód bowiem Hindusi mają na swej drodze do wolności bardzo wiele, przeszkód bardzo poważnych. Zanim usuną choćby największe z nich, dużo jeszcze wody upłynie w Świętym Gangesie, mówiąc po naszemu.

Najpoważniejszą przeszkodą — to imperjalizm brytyjski. Indje — to jeden z najważniejszych rynków zbytu, niemal podstawa ekonomicznej egzystencji Anglji i baza jej wpływów na Oceanie Spokojnym. To też rząd angielski dołoży wszelkich starań, by się jaknajdłużej na półwyspie indyjskim utrzymać. Tendencja ta jest nazbyt widoczna z ociągania się z wykonaniem czynionych obietnic konstytucji dominjalnej, z tworzenia różnych aktów, komisyj, projektów konstytucji, ukazywania mirażów wolności republikańskiej i t. p. Pozatem jednak wyczuć można, że w gruncie rzeczy o co innego całkiem chodzi.

Przypuśćmy wszelako, że Anglja pod presją następnego wszechindyjskiego kongresu narodowego nadałaby Indjom samorząd i usunęłaby się od rządów nad niemi. Dla republiki indyjskiej z tą chwilą wyłonią się nowe bardzo poważne trudności. Chodzić będzie o to, aby wyminąwszy Scyllę, nie wpaść w sidła Charybdy. Jeżeli Indje zostaną zdane same na siebie, to staną wobec nowych wrogów, czyhających ustawicznie na dogodną sposobność, by zawładnąć narodami hinduskiemi.

Tymi wrogami — to z jednej strony sowiecka Rosja, która pragnie zbolszewizować Indje, opanować je i w ten sposób utrwalić swoją pozycję na kontynencie azjatyckim. Z drugiej strony, cierpiąca na przeludnienie i szczupłość terenu Japonja zechce może wyciągnąć rękę w stronę Indyj i położyć na ich terytorjum choćby jeden, dwa palce. Imperjalizm japoński, który zaznacza się na obu sąsiednich oceanach, może dać się we znaki i wolnym Indjom. Nawet Afganistan z żywiołem muzułmańskim byłby sąsiadem dla Indyj bardzo niewygodnym.

Aby Indje mogły stawić czoło ze wszech stron czyhającym wrogom, potrzeba im karnego, wyćwiczonego wojska, pod wodzą hinduskich oficerów. W Indjach obecnie istnieje 200.000 wojska, w czem 60.000 żołnierzy angielskich. Całkowite wydatki na obronę kraju wynoszą zaledwie 55 krorów (41.250.000 funtów szterlingów). Lecz to wszystko nie wystarcza do obrony około 15.000 km. granic. Do obrony granicy morskiej potrzeba floty wojennej. Ta zaś dopiero znajduje się w stadjum zalążkowem, że się tak wyrażę.

Indje są kolosem, pod względem obszaru równającym się całej Europie. Są najbardziej różnorodnem terytorjum w świecie pod względem ras, narodów, religij i języków. Dość powiedzieć, że w Indjach są reprezentowane wszystkie religje światowe, języki liczą się na dziesiątki, a narzecza na setki niemal. Otóż ta mozajkowość etniczna komplikuje niesłychanie sprawę konstytucji indyjskiej, przeszkadza narodowi, ściślej mówiąc narodom indyjskim do wytworzenia jednolitego poglądu na sprawę niepodległości Indyj. Nienawiść rasowa i religijna utrudniają porozumienie na dłuższą metę. Kto potrafi zjednoczyć to wszystko, zespolić w jeden naród, zaspokoić postulaty różnych warstw, w różnych społeczeństwach mieszkających na półwyspie? Zdążają ku temu wysiłki Gandhiego, ale nie zawsze są one owocnemi. Jedynem wyjściem, zdaje się, byłoby stworzenie szeregu republik, czy samoistnych prowincyj lub coś w tym rodzaju. Taki projekt już jest szkicowany przez narodowy kongres hinduski.

[1]) Por. „*Oriente Moderno, Rivista mensile*“, *Roma* 1929. *Febraio.*

Czynnikiem opóźniającym uzyskanie samorządu jest znaczna ilość partyj politycznych, zwalczających się często wzajemnie, jak już wyżej o tem wspomnieliśmy. Stąd różnolitość poglądów na stosunek Indyj do rządu angielskiego. Za przykład służyć może nowy rozłam wśród Hindusów podczas ostatniego kongresu narodowego w Lahore. Rozłam nastąpił skutkiem starcia się różnicy zdań między skrajnymi nacjonalistami a partją umiarkowaną.

Kwestją niezwykle trudną do rozwiązania w Indjach jest kwestja muzułmańska. Na terytorjum Indyj mieszka około 67.000.000 muzułmanów. Rozsiani są po całym półwyspie. Największe skupienie żywiołu muzułmańskiego jest w prowincji bengalskiej (53%). W prowincjach północno-zachodnich ludność muzułmańska jest w znacznej większości (93%). Jest to element, w przeciwieństwie do Hindusów, nadzwyczaj aktywny i gwałtowny. Wszelkie wysiłki Gandhiego do wprowadzenia współpracy muzułmanów z Hindusami wieńczone są małemi wynikami. Rozognieniu, jakie panuje pomiędzy temi dwiema ludnościami, jest bardzo trudno kres położyć z powodu różnic religijnych. Ciągłe walki, często bardzo krwawe i okrutne mają za przyczynę nietolerancję religijną. Muzułmanie mszczą się na Hindusach za każde zakłócenie modlitw muzyką lub śpiewem w pobliżu meczetów, Hindusi zaś nie mogą darować muzułmanom zabijania krów, które uważane są za święte przez Hindusów. Względy ekonomiczne też są przyczyną antagonizmu obu ludności. Ludność muzułmańska jest ekonomicznie upośledzona, stąd pewna zazdrość i nienawiść.

W końcu czynnikiem bardzo niebezpiecznym, rozsadzającym podstawy wszelkiej jedności narodowej i społecznej — to komunizm. Komuniści dali znać o sobie 8 kwietnia zeszłego roku, rzucając dwie bomby na zgromadzeniu narodowem i ulotki rewolucyjne. Propaganda komunistyczna kwitnie w Indjach na szerokiej skali, mimo energicznego tępienia przez Anglję. Głównemi centrami propagandy bolszewickiej na Indje są: Samarkanda na wschodzie i Berlin na zachodzie. Od r. 1920 istnieje w Taszkencie główna szkoła sowiecka, w której kształciło się w r. 1921 zgórą 1.000 hindusów na rewolucjonistów. W Berlinie istnieje agencja informacyjna dla młodzieży hinduskiej, studjującej w Niemczech. Pozatem pracują niestrudzenie agenci bolszewiccy w Kabulu. Opłakane warunki ekonomiczne wśród ludności indyjskiej przyczyniają się wiele do rozszerzania się komunizmu. Kapitał bolszewicki płynie wciąż z Moskwy do Indyj szeroką strugą i powoli robi swoje.

Mimo tych wszystkich sił odśrodkowych Indje mają możność powolnego uporania się z niemi. Najrozważniejsi Hindusi narazie zdają się konsekwentnie dążyć do wymuszenia na Anglikach jaknajdalej idącej reformy konstytucyjnej. Sądzą, że na zupełne zerwanie z nimi jest jeszcze może przedwcześnie. Anglicy potrzebni są jeszcze Indjom przez pewien czas.

Obok dwustu tysięcy wojska hinduskiego istnieje, jak wspomnieliśmy, związek marynarski (*Royal Indian Navy*). Ciekawy jest fakt, że Anglja od kilku lat stale zmniejsza ilość wojska hinduskiego.

O szkoleniu kadr oficerskich myślą też Hindusi. Powstać mają specjalne szkoły dla przyszłych oficerów.

To, co stanowi jednak niespożytą siłę Hindusów, to ich zapał, umiłowanie przeszłości i pragnienie wolności. To łączy wszystkich Hindusów bez względu na różnice poglądów — i być może, kiedy hasło do ostatecznej walki będzie rzucone, wszyscy staną w jednym szeregu. Narazie niezależnie od wystąpień politycznych pracują Hindusi nad zorganizowaniem wychowania narodowego, uniezależnieniem ekonomicznem, wychowaniem żołnierza własnego i t. d. Są więc na dobrej drodze.

Z chwilą, gdy Indje stałyłyby się republiką, może w niedługim czasie, oblicze świata zmieniłoby się znacznie. Anglja straciłaby grunt pod nogami na Dalekim Wschodzie. O wpływy na półwyspie zaczęłyby się ubiegać Sowiety i Japonja. Kto wie, czy propagowana na Wschodzie liga narodów azjatyckich nie przybierze realnych kształtów. Na ten temat snuć można tylko pomysły.

Jeśli chodzi zaś o Polskę, to i dla nas sprawa niepodległości Indyj nie jest obojętną. Bliski Wschód — Turcja i Persja, z któremi łączą Polskę traktaty handlowe, byłby pomostem, wiodącym na Daleki Wschód — do Indyj i Japonji.

Lwów FRANCISZEK MACHALSKI

MOJ ŻYCIORYS POETYCKI

(FRAGMENTY)

(Dokończenie)

GDY czynię wspomnieniowy bilans mojego dzieciństwa, przyznać muszę, iż przygotowało mię ono dobrze do zawodu rymopisa, — nie śmiem powiedzieć — do powołania poety.

Dzieciństwo dało mi poznać arcydzieła dobroci kobiecej, — w miłości macierzyńskiej i siostrzanej. Przyzwyczaiło mię,—(a w tem taiło się jednak sporo niebezpieczeństwa!) — do uważania za rzecz zwyczajną, iż jestem przedmiotem miłości... Miało to wpływ na moją przyszłość literacką.

Za tej miłości pośrednictwem zżyłem się, — lepiej niż przez studja i wykłady, z całym bezcennym zasobem literatury naszej — od trenów o Urszulce Kochanowskiej, przez najpopularniejsze rzeczy „trzech wieszczów“, przez spoufalenie się z Syrokomlą, Fredrą, Ujejskim, Lenartowiczem aż do Konopnickiej, która wtedy w zenicie swojej sławy stała. Poezje te kładłem narówni z piosenkami ludowemi i z muzyką Szopena. Wszystko to było dla mnie tak samo bezpośrednie, jak ćwierkanie wróbli, szum wiatru za oknem... Nie pamiętam, kiedy tego wszystkiego nie znałem.

Z takiem przygotowaniem polonistycznem, zdołałem przetrzymać bez zepsucia swej polszczyzny gimnazjum apuchtinowskie, a przy studjach uniwersyteckich dorównać kolegom ze szkół małopolskich — u Tarnowskiego, Windakiewicza, Zdziechowskiego, Porębowicza.

Dzieciństwo dało mi poznać z dobrej strony p o e z j ę p o l s k ą i k o b i e t ę p o l s k ą. Mam do nich odtąd niezmienne przywiązanie. Bo jeśli nawet z biegiem lat poznałem je obiedwie jeszcze i od innej strony, to owe spostrzeżenia późniejsze moja natura traktuje nieufnie, jako coś na-

rzuconego przemocą przez intelekt, lecz wcale nie potwierdzonego przez instynkt.

Wyższem od uniwersyteckiego nawet studjum literackiem było dla mnie wnikanie pasjonujące w dzieło spolszczania utworów cudzoziemskich. Niedoścignionym wzorom tłumaczów z epok dawnych, — z dzisiejszych zaś — maestrji Miriama Przesmyckiego i Edwarda Porębowicza zawdzięczam głównie to, co mnie samemu w przekładach udało się zrobić.

Pełne wdzięczności wspomnienie budzą też we mnie subtelne wskazania świetnego krytyka i stylisty Antoniego Potockiego, który zaszczycał mię przyjaźnią, chociaż niejeden pogląd później nas rozdzielił. On to wspaniałą, zadzierżystą polszczyzną „formował mi rękę“ bezpośrednio na Arturze Rimbaud, torturowanym niewiarą poecie mistyku, który przed laty sześćdziesięciu pisał, że — z łakomstwem czyha na Boga... Części wierszowane jego Sezonu w Piekle ogłosiłem w „Geście Wewnętrznym“ (r. 1911), a całość w „Echu Literackiem“ (r. 1915).

Na kilka lat przed wojną zamieszkaliśmy latem z p. Potockim w historycznym dziś domku, w którym Wyspiański oglądał wesele Rydla. Panna Isia Tetmajerówna pokazywała nam, który to krzew różany był Chochołem i w jakiej izbie tańczono najzawzięciej. Domek ten stał pustką przez parę lat i gdyśmy go obejmowali w posiadanie — środkiem sieni biegła mrówcza droga.

Na nadgniłym ganeczku, obok róży Chochoła, gorzały dyskusje o starożytnościach i nowościach literackich, o Moréas'ie, Laforgue'u, Claudel'u i Apollinairze, którego w roku następnym poznałem osobiście w Paryżu. Przedewszystkiem jednak panoszył się na bronowickim ganeczku Rimbaud i jego „Illuminacje“, będące długo światłością nowej u nas sztuki i jej relikwią zarazem.

Lecz nietylko niesamowite błyski intuicji poetyckiej genialnego podrostka na progu obłędu zajmowały mój umysł. Jeszcze więcej przejmowały mnie bóle metafizyczne tej duszy, jasnowidzącej wieczność, lecz odrywającej się od niej z męstwem potępieńczem.

Zarzucono mi parokrotnie, że twórczość moja ma zbyt jasny rodowód, że wywodzę się wprost od wielkich naszych poetów. Istotnie, — przepraszając za dobitność, — stwierdzam z ochotą, że sroce z pod ogona w literaturze nie wypadłem: pochodzenia swego poetyckiego nie taję, z atawizmów sarmackich i łacińskich jestem właśnie dumny. Bo tylko niepewnego pochodzenia nerwowy Smierdiakow, cudze sekrety cichaczem podpatrujący, uważał, że od niego wszystko się na świecie poczęło, on zaś sam począł się, — bez udziału przodków, — z wilgoci, ściekającej ze ścian w parowej łaźni rosyjskiej.

Nie mam ambicji Smierdiakowskich. Jestem zwolennikiem poglądu, że podobieństwa między ludźmi możnaby mierzyć na łokcie, różnice zaś — tylko na cale.

W tych jednak calach jest właśnie oryginalność każdej osobowości, jej wyraz odrębny i nie dający się powtórzyć, tak samo, jak gra wyrazów na rasowej, a więc noszącej piętno swojego pochodzenia, twarzy.

* * *

Od dzieciństwa przejawiana skłonność do instynktownej inscenizacji swych wrażeń, oraz wielbienie słowa żywego wskazywały mi drogę do twórczości dramatycznej.

Pisząc „Farysa“, połączyłem styl poezji wschodniej — z liryką wzruszeń własnych, — tak bardzo osobistych, że aż chciałem je zneutralizować — przenosinami za morze Śródziemne i schować je pod nowemi kasydami, z dodatkiem, oczywiście, fantastycznej fabuły.

Zanurzyłem się więc na długo — i z prawdziwą rozkoszą — w poezję Arabji i Persji. Posiadam całą antologję wierszowanych i prozaicznych przekładów własnych z Saadiego, Kisai i wielu innych.

Z Koranu wypisałem sobie, co następuje:

„Obchodźcie się z kobietami łagodnie, wszak stworzone są z żebra, a żebro jest krzywą kością: — jeżeli chcecie je koniecznie wyprostować, złamiecie je“.

Poeta Kisai mi powiedział, że:

...Róża jest łaską, z nieba nam zesłaną: — człowiek wśród róż szlachetnieje.

Przekupniu róż, — dlaczego bierzesz pieniądze za róże?

Cóż dostaniesz za pieniądze — cenniejszego od róż?

W Sardarze głęboko odczułem jego rozdwojenie:

„Dwie sprzeczności osiadły społem w mojem ciele: — z ócz łzy ciekną, a serce ogień mi pożera. Podobny jestem chmurze, mającej w sobie wodę i ogień zarazem“.

Bezimienny Beduin wzruszył mię westchnieniem:

„Dzień wczorajszy łzy mi wycisnął, dzisiaj — płakałem po wczorajszym dniu“.

Wreszcie — w ułamku z Apokalipsy Izmalitów znalazłem koniec świata:

...„Nastałby wtedy czas sądu. Iblis, swąd ognia piekielnego, — czad chuci wszetecznej, — zerwałby łańcuchy. Gwiazda zaranna rzuciłaby się do ucieczki z nieba, jako gazella ze stepu objętego pożarem. Księżyc, zgnieciony tarczami dwu demonów — wiekoludów ściekałby z nieba wrzącemi kroplami. Ziemia ze strachu zrosiłaby się krwawym potem na spopielałej trawie i zwęglonych kwiatach. Wiatry, zbite w kłąb, tarzałyby się w kurzu ziemi, zaś błyskawice nieustannie pisałyby na niebie suraty z Koranu, — odepchniętego przez ludzi potępionych. A tajne znaczenie Świętej Księgi rzuciłoby się im oczy i stałoby się widoczne dla wszystkich — jako dno oceanu, któryby swemi wodami naraz chlusnął w niebo“.

Otóż, — ktoby w wierszach mego „Farysa“ dopatrywał się — (wskazanego przezemnie cytatą ze Słowackiego pod Mickiewiczowskim tytułem!) — podobieństwa do dzieł tych wielkich poetów, — niech raczy także spostrzedz, że mały poeta w mojej osobie sięgnął pozatem do tych samych źródeł, z których ci Wielcy czerpali... Że Miłaszewski nie poprzestał na wpływie Mickiewicza i Słowackiego, ale prócz tego podlega wpływowi poezji wschodniej, która na tamtych obydwu też wpływała, jak również na... pewnego Byrona.

...Pragnę zaznaczyć, gdzie się ujawnia najwyraźniej okruch mojego rzeczywistego przeżycia w bajecznym poemacie dramatycznym o „Farysie“. Oto w odsłonie VI-ej, w scenie trzeciej, — pierw-

sze dwanaście wierszy monologu m o ż e stanowią osobny, niezależny utwór... M o ż e to jakieś liryczne z w i e r z e n i e, — niezależne zupełnie od ruin Thadmoru i pustyni libańskiej... M o ż e tak samo czućby można w jakimś Paryżu, czy Warszawie... M o ż e w bruljonie zamiast patetycznej „zasłony" była zwyczajna „woalka", a zamiast wschodniego imienia „Leila", — przymiotnik pospolity „kochana". M o ż e ten ustęp zdezorjentalizowany nie brzmiałby gorzej, niż w arabskim burnusie...

W o a l k o z ukochanych lic!
Ty jedyny, ostatni łachmanie miłości,
Strzępku szczęścia, z którego nie zostało nic,
Całunie pocałunków, zgubionych w nicości...
K o c h a n a, to łzy t w o j e z moich oczu cieką,
I gardło mam zdławione spazmem t w o i c h łkań...
Żyjesz we mnie, choć j e s t e ś daleko... daleko...
Oto cię wskrzeszam w sobie cudotwórczem w s t a ń!
Z grobowca w sercu ciebie przemocą wywlokę:
Z trumny wspomnień dobędę cię na światło dnia!
Niech pęka grób twój — serce, niech sączy posokę,
Bo z mej krwi cię wywołam, z serca wyrwę ja!...

* * *

Jan Rembieliński w tęgim wywodzie literackim zaszczycił mój dramat o „Don Kiszocie" porównaniem do „Odprawy Posłów Greckich" Kochanowskiego, dostrzegł bowiem pokrewieństwo w stylu dramatyzacji arcydzieł epickich i w śmiałem tychże spolszczeniu.

Samo już takie porównanie, chociażby przez przyjaźń, wyrozumiałą na moje błędy, uczynione, droższe mi jest od wszelkich oficjalnych laurów.

Atoli sprostować muszę pogląd obcy — szeroko dosyć spopularyzowany. Oto zarzucono mi — ni mniej, ni więcej — tylko „pobożne" fałszerstwo wobec Don Kiszota, rzekomo przez włożenie mu na szyję szkaplerzyka haseł katolickich, który to szkaplerzyk, zwisając bezprawnie, drażni nietylko kark Rossynanta, lecz także i gusty pewnych rzeczoznawców.

Zarzut tego pobożnego fałszerstwa dotyczy głównie tyrady Don Kiszota o zadaniach rycerza-chrześcijanina w scenie 3-ej odsłony XI-ej (na str. 177 — 179).

GOSPODYNI

Co pana z jego domu, od własnego kęsa,
Gna i zmusza, byś pan się po świecie wałęsał?

DON KISZOT

Kto zmusza mnie? A kto zmuszał
W czasach, które przeszłość skrywa,
Szalonego Horacjusza,
By w pancerzu Tybr przepływał?
Kto kłaść rozkazał Scewoli
Dłoń w ogień, co mu ją przeżarł?
Dlaczego wbrew losów woli
Przez Rubikon przeszedł Cezar?
Dlaczego flotę Hiszpanom
Spaliło Korteza męstwo,
Kiedy ocean zdeptano,
W świat nowy niosąc zwycięstwo?
Czemu od Greków Azjata
Hańby poddaństwa nie wymógł,
Gdy Grecji przed resztą świata
Bronili?

SANCZO

Nie wiem, dalibóg!

DON KISZOT

Sława, podnieta ludzkości,
To sława, to sława judzi
Do czynów nadludzkich — ludzi,
Przez śmierć do nieśmiertelności!
I my walczymy, chrześćjanie,
O sławę, lecz wiekuistą!
Nie dla nas, — dla ciebie, Panie,
Na śmierć gotowi — pro Christo!
Nas mierzi sławy ułuda,
Co razem z ziemią przeminie:
My, waląc w proch wielkoluda,
Godzimy w pychę jedynie.
Z zazdrości gadem padalczym
Walczymy wielkodusznością;
Z lenistwem — wytrwaniem walczym,
A z wyuzdaniem — wiernością.
Rycerstwo, — podłości postrach, —
W naszej pielgrzymce wytrwałej
Depcem po zbrodniach i monstrach,
Jako po stopniach do chwały!

Otóż stwierdzam, że cała powyższa przemowa pochodzi z ust autentycznego, Cerwantesowskiego, Don Kiszota i jest tylko przezemnie zwarta i zrymowana. Szkaplerz bowiem na zbroi błędnego, szczytnie poezją obłąkanego rycerza z Manczy, — był jego oręża duchowego częścią nieodzowną, nie zaś moim późniejszym wymysłem.

Nie warto jednak wsłuchiwać się zbyt długo w miedź brząkającą zarzutów, pochodzących z niedostatecznego rozczytania się w Cerwantesie wogóle, — i z niedoczytania do końca nawet „Don Kiszota"...

Przechodzę do „B a l u w O b ł o k a c h". Jakież w nim są refleksy życia rzeczywistego? Oto przedewszystkiem — Ludka. Znakomity krytyk Zygmunt Wasilewski wywiódł z nadzwyczajną słusznością, iż Ludka jest centralną osią tej sztuki. To najzupełniejsza prawda. Ludka jest bowiem nietylko główną heroiną „Balu", ale i najdroższą autorowi postacią. W jej prototypie życiowym spotkał on po raz trzeci „arcydzieło kobiecości", najbujniej, najharmonijniej i najofiarniej może przejawione... Do świetlanych dla niego pojęć m a t k a i s i o s t r a, przybyło t r z e c i e, — rymujące się z niemi najpiękniej...

Są ludzie, którzy kobiety w rodzaju Ludki, znają tylko z ...„Pana Tadeusza..." Nie dziw tedy, że im się wydają nierzeczywiste... Cóż ja mam na to powiedzieć?—Chyba to, że współczuję i c h rzeczywistości.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

SPADAJĄCE GWIAZDY

Po ziemi stukają koła,
W powietrzu warczą motory,
Ale po niebie, po niebie,
Bezgłośnie mkną meteory.

Zręcznie pomiędzy gwiazdami
Kreślą swe parabole,
Potym zabłysną, rozbłysną,
I giną gasnąc na dole.

Skąd idą i gdzie znikają,
Daremnie pytać, daremnie,
Ale przed końcem wędrówki
Swym blaskiem rozjaśnią ciemnie,

O gwiazdy spadające,
O meteory jasne!
Niech i ja światłem rozbłysnę
Zanim jak wy zagasnę!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Początki Europy. — Dmowskiego nauka perspektywy historycznej. — Co było cztery tysiące lat temu? — Kreteńczycy i Arjowie. — Dwa wątki cywilizacyjne. — Rola rodziny. — Odczyt Dmowskiego jako zdarzenie dnia. — Kontrast życia duchowego i brutalnej rzeczywistości. — Gdzie jesteśmy?

PIERWSZY odczyt z zapowiedzianego przez nas cyklu wygłosił w dn. 20 marca Roman Dmowski p. t. „Początki Europy“. O zdarzeniu tem pragnę poinformować w notatce reporterskiej szersze koła czytelników „Myśli Narodowej“, aby czytelnicy warszawscy, którzy byli na odczycie, nie uważali się za wyjątkowo uprzywilejowanych. Podzielę się przynajmniej ogólnem wrażeniem.

Dawno już nie widziano w Warszawie ciżby na odczycie naukowym. Z powodu przepełnienia sali trzeba było wstrzymać napływ tych, którzy w ostatniej chwili przybyli. Towarzystwo było doborowe, nie tylko liczne. Oczywiście owacje były długie i gorące. Gdziekolwiek Dmowski się ukaże, spotykają go objawy czci i miłości.

Dmowski wystąpił jako badacz naukowy zamierzchłej przeszłości. Zaskoczył słuchaczy prehistorją. Dmowski zawsze jest niespodziewany w drogach swej pracy umysłowej. Wielka jego indywidualność mieści się w szeregu, gdy chodzi o robotę, ale umysł jego chodzi przestworami samotnie, jak statek powietrzny, który bada drogi. Umysł to realny, nie bawi się w fantazje poetyckie, natomiast umie — jak nikt — wyciągać naukę z doświadczeń dziejowych i z analogij, osiąganych przez studja w podróżach. Gdy innym zżerają mózg namiętności, wiążące ich z chwilą i zaściankiem, jego umysł operuje dużemi kategorjami czasu i przestrzeni i wolny jest od zaćmień uczuciowych. Gdy inni szukają rzeczy małych, aby się uwydatnić, a linja ich mrzonek gubi się w mgle jakiejś nieokreślonej ludzkości, którą prorokują jako cel; to Dmowski odbywa drogę odwrotną: poznaje życie ludzkie wszerz i wgłąb dziejów, mając na myśli wielkość swojej ojczyzny, jako cel.

Dmowskiego umysł chodzi drogami pojęć o cywilizacjach jako zjawiskach dziejowych. Od dłuższego czasu nagabuje go zagadka powstawania i trwałości tych zjawisk. My żyjemy w cywilizacji narodowej, należącej do rodziny łacińskiej. Znamy współcześnie cywilizacje inne, jak chińska, japońska, induska. Znamy z historji starą cywilizację egipską, albo takie, które niemal w oczach świata dzisiejszego powstały i zgasły, jak grecka lub rzymska. Jakie prawa rządzą powstawaniem i upadkiem takich cyklów cywilizacyjnych?

Przedewszystkiem interesuje nas własne dziedzictwo. Nasza podstawa językowa jest aryjska, duchowa—łacińsko-chrześcijańska, która trwa 1930 lat. Za rodzicielkę naszej cywilizacji uznawać musimy rzymską klasyczną; ta znów wiele zawdzięcza greckiej. Ale skąd się wzięła grecka? Czy pamięć historyczna nie może się wmyśleć w czasy dawniejsze? Grecja klasyczna trwała jakieś 300 lat. Do jej początków sięga pamięć historji pisanej w postaci opowieści Homera. Głębiej — ciemności. Dopiero w tem stuleciu odkrycia archeologiczne, poczynione na Krecie, rozdarły zasłonę.

Dmowski w czasie wojny zaznajomił się osobiście ze słynnym Ewansem, archeologiem angielskim, który tych odkryć wiele dokonał. Zobaczył ego wykopaliska, zetknął się z materjalnemi dowodami istnienia przedaryjskiej w Europie cywilizacji. Ujrzał świat dwa razy głębszy swoją dawnością, niż era chrześcijańska, a cztery razy dawniejszy, niż tradycja polskiej cywilizacji. A przecież przedmioty, które mu w rękę stamtąd wpadły, są znajome. Ani ludzie, ani ich wyroby nie odbiegają bardzo od tego, co mamy dzisiaj. Nie wiadomo, jak się ten lud nazywał, jaki miał język, bo pisma jego dotąd nie odczytano dla braku klucza. Archeolodzy jednak przy pomocy odnalezionych wskazówek w dziejach starego Egiptu, wyrobili już sobie o tej zaginionej cywilizacji dostateczne pojęcie.

Owi Kreteńczycy zamieszkiwali wyspy morza Egejskiego i wybrzeże Azji Mniejszej, dosięgali półwyspu Apenińskiego, prowadzili handel z Egiptem i Mezopotamją (Babylon), mieli wysoką kulturę przemysłową aż do artyzmu, produkowali wino i oliwę, posiłkowali się flotą handlową, a nawet wojenną ku obronie od piratów, bardzo byli bogaci, dbali o komfort, o czem świadczą odkopane pałace królów (Minosów). Próbkę tej rasy mamy dziś jeszcze tylko nad zatoką Baskijską. Owa Troja była ich miastem. Wiemy z Homera, jak Grecy zdobyli tę ostatnią pozycję kreteńskiego panowania. Legenda o pięknej Helenie jest bardzo znamienna — dośpiewujemy sobie w duszy, słuchając wykładu Dmowskiego o ustroju życia społecznego Kreteńczyków. Była to bowiem cywilizacja, w której dużą rolę grały kobiety z tytułu ustroju rodzinnego, uznającego dzieci za przynależne do matki, jako pochodzące od różnych ojców, przez co kobieta stawała się ośrodkiem ogniska. Był to, jak świadczą dokumenty rzeczowe z doskonale wykończonemi wizerunkami ludzi i świadectwami ówczesnych obyczajów, lud zniewieściały i z dosytu mało aktywny. Trzeba dodać, że prelegent nie zaniedbał uplastycznić charakterystycznych odkryć kopaliskowych ilustracjami. Wykonali je według zdjęć i rysunków na dużych kartonach młodzi malarze z warsz. Szkoły Sztuk Pięknych. Dwaj z nich podnosili w górę obrazy po kolei, a każdy obraz budził niekłamany podziw. Przesuwały się przed oczyma plany pałacu Minosa, wizerunki króla i kobiet, wazy, sceny według wynalezionych rzeźb i malatur. A to współdziałanie artystów z badaczem naukowym było piękne i znamienne dla obecnego ruchu umysłowego w obozie narodowym.

Dmowski opisuje według dat, przez archeologię ustalonych, jakim katastrofom ulegały wskutek najazdów, dokonywanych przez ludy obce z północnego Iranu, zarówno Egipt, jak Mezopotamja i owa cywilizacja Egejska. W latach 1750, potem 1450 wszystko padało na Krecie w ruinę, a ślady świetnej przeszłości szły w niepamięć. Nie ginął przecież lud i mieszał się z przybyszami, którzy wreszcie osiedli tutaj i zapanowali.

Byli to aryjczycy — Grecy, lud ze stepów, pasterski, koczowniczy, z silnym ustrojem rodowym, przeciwieństwo stylu cywilizacyjnego tybulców. Przyczyny wędrówki ich na Kretę mogły być różne. Przypuszczają, że powodowały nagły ruch okresy posuchy w stepach, w każdym razie celem ich był łup, żądza bogactw, o których wiedziano szeroko. Dmowski przypuszcza, że sprowadziły ich plemiona, któremi Kreteńczycy wyręczali się w ciężkiej pracy i w wojsku najemnem, a decydował o ruchu wynalazek epokowy — koń oswojony, który był taką erą w komunikacji (w stosunku do wołu), jak dzisiaj samolot w stosunku do kolei.

Dzieje kultury greckiej w swoim procesie wewnętrznym, to przenikanie się wzajemne nowego barbarzyńskiego pierwiastka przybyłych z północy panów z tradycjami kultury dawnej, przyczem tradycje egejskie pełniły rolę społecznie rozkładową. Odtąd przez całe dzieje Europy przewijać się będą te dwa wątki, z których jeden organizowany będzie jako destrukcja przeciwko życiu twórczemu Arjów. Cywilizacja chrześcijańska trzyma się dwa tysiące lat bez mała w oparciu o czynniki dodatnie Rzymu i Grecji, ale nie przezwycięży kryzysu, z którym czasy nasze się zmagają, jeżeli genjusz narodów, tę cywilizację dziedziczących, nie uprzytomni sobie jej dziejów i podstaw.

Dmowskiego wykład trwał dwie i pół godziny. Publiczność, znająca przeważnie prelegenta z polityki, porwana wykładem, który był arcydziełem sztuki popularyzacyjnej, przeniosła się myślą w nieskończone dale dziejowe, aby w końcu stamtąd zajrzeć w swoją dzisiejszość. Zaspokajanie ciekawości w sprawach o tak wielkiej skali graniczy ze wzruszeniem i to zarówno u tych, którzy słuchają, jak i u człowieka, który posiadł wiedzę i pierwszy ją w swojej osobistej wizji przedstawia. Widoczne było, że Dmowski mówił w rozradowaniu, iż może temi rzeczami przez siebie głęboko przemyślanemi się podzielić. Dla niego myśleć metodą naukową w oderwaniu od politycznych zastosowań, dla samego karmienia umysłu wiedzą, dla próbowania lotu w wielkich przestrzeniach zagadnień — to płodozmian dla umysłu, to próbowanie swej pełni twórczej i ćwiczenie skrzydeł. Wszystkie niepospolite umysły pracują na paru polach, z których jedno uchodzi w świecie za ich zawodowe. Ale gdyby te inne pola nie odżywiały umysłu i tamtoby się wyjałowiło.

Dmowski należy do tych twórców - artystów, którzy bez pogłębienia świadomości historycznej do roboty nie przystępują. W czasach kryzysu cywilizacji potrzebą jego wewnętrzną było zbadać jej odległe dziedziczenia.

Tego typu umysły, z zamiłowaniem i polotem rzecz traktujące, wytwarzają wysoką temperaturę zainteresowań, która się wyraża w entuzjazmie i wdzięczności.

Manifestacyjnie też żegnano prelegenta. Skorzystano ze sposobności, aby wyrazić wdzięczność temu, który Polskę nietylko oświeca, ale i tworzy. Zdano sobie sprawę, że odczyt dał sposobność słyszeć człowieka historycznego, nie tylko historyka. Żegnano go u wyjścia na ulicę okrzykami: niech żyje!

Jestem zakłopotany, bo wstyd mnie ogarnia, ale muszę dodać, jaki był finał na ulicy, tej ulicy, która jest rzeczywistością naszą dzisiejszą, tak daleką od poziomu duchowego, na jakim Dmowski chciałby widzieć życie społeczeństwa cywilizowanego. Oto na publiczność, z którą wyszedłem za prelegentem, następowała policja. Wynurzyła się z bram i zaułków. Znalazła się też konna. Karabiny nastawione w pogotowiu, miny srogie. Trójki, czwórki idą po piętach, rozpychają tłum, czekają na sposobność użycia siły. Oczywiście sposobności nie mogło być, ale był efekt cięższy od rany—ból moralny.

Gdzie jesteśmy? Więc taki jest pogląd na rzeczy, że Polsce grozi niebezpieczeństwo od Dmowskiego? Od tego twórcy, bez którego nie byłoby dzisiaj użytego tutaj aparatu państwowego?

W czyimże ręku jesteśmy?

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WŚRÓD PRZESILENIA

DOBRY smak, jaki ujawnił się w ostatnim artykule imieninowym p. Piłsudskiego, propozycje, z jakiemi do „swojego Wodza“ zwracali się jego podkomendni, wyznaczają w sposób nie budzący wątpliwości poziom moralny, obyczajowy, estetyczny obozu „pomajowego“. Szczyty myśli politycznej tego obozu reprezentują desygnowani kandydaci na prezesa rady ministrów: pp. Szymański i Jan Piłsudski. Górność dążeń, w imię których „przewrót“ został dokonany, streszcza się w najważniejszym punkcie „*ultimatum*“ p. Józefa Piłsudskiego, żądającym „wycofania“ art. 6 ustawy skarbowej, urzeczywistnienia hasła „luzów budżetowych“...

Obóz „przewrotu majowego“ domaga się dla siebie od społeczeństwa nieograniczonego kredytu moralnego, a to celem nieograniczonego korzystania z kredytów... w kasach państwowych. Czyni to w chwili, kiedy ideowy organ tegoż obozu, tygodnik „Przełom“, temi słowy ocenił położenie w imieninowym artykule „Cześć! Komendancie!“:

> „W uroczysty dla nas dzień Twych imienin stajemy, legjonowa brać szara, przed Tobą, drogi Solenizancie... meldujemy posłusznie, że przystępujemy do szarej pracy podźwignięcia moralnego i zespolenia częściowo zgnuśniałych i rozsypanych naszych szeregów.
>
> A żebyśmy do tej pracy z czystem sercem, bez złości, zawiści i żalu przystąpić mogli, przeto publiczną spowiedzią przed Tobą, siwy Wodzu nasz, oczyścić je chcemy i kajamy się w grzechach naszych i notujemy je, abyśmy poprawę od siebie rozpocząć mogli...
>
> A było i tak, żeśmy do małych celów wielkich haseł zasady nieraz stosować chcieli, dla chwilowych korzyści wielkie idee profanować dozwolili, karłom moralnym i łotrzykom błudnym dostęp do nas dali, którzy potem, dufni w poparcie nasze, jako, że pożytecznymi być mogą, wyznawcami Twoich idei i legjonistami mienić się poczęli, obniżając Twoje i nasze imię do swego poziomu i podając je na żer plotek gawiedzi.
>
> A poniektórzy z nas i czystych rąk nie mieli“...

Źle jest, gdy spowiedź, obok swego celu właściwego, jakim jest oczyszczenie moralne penitenta, posiada pozatem niektóre cele uboczne, mniej lub więcej zręcznego posunięcia taktycznego. Niesmaczne i nieprzyjemne jest więc tutaj usiłowanie zrzucenia odpowiedzialności za obecne położenie w kraju na jakichś „karłów moralnych i łotrzyków obłudnych“, jakichś ludzi, którym „dano dostęp“, którzy „legjonistami mienić się poczęli...“ Sprawca i wódz przewrotu majowego dobierał przecież, jak chciał, wykonawców swojej woli, a wyznaczał ich przedewszystkiem ze swego otoczenia najbliższego, z towarzyszów najstarszych i najbardziej zaufanych. Sam roztrzygał o najważniejszych zagadnieniach polityki państwowej, tak jak sam wygłaszał swoje przemówienia i sam pisał swoje artykuły. On, nie kto inny, po czterech latach „rządów pomajowych“, ponosi pełną odpowiedzialność za dzisiejszy stan rzeczy w Polsce, za jej stan gospodarczy, polityczny, moralny...

Dlatego właśnie tyle uzbrojonej policji mobilizować dziś trzeba dla ochrony oficjalnych obchodów imieninowych, dlatego tegoroczne laurki imieninowe poplamione są krwią polskich studentów-

WYCHOWANIE NARODOWE

PROPAGANDA PACYFIZMU W WYCHOWANIU

(Dokończenie)

MOŻNABY na tych wyjątkach z pracy Dr. Reimanna poprzestać. Pozwalają one w pełni poznać tendencje obecnej szkoły niemieckiej i ideały, wszczepiane w młodzież niemiecką. Ale praca ta rzuca tyle światła nie tylko na kwestję wychowania w Niemczech, ale na psychikę narodu niemieckiego, że nie mogę się powstrzymać, by nie przytoczyć jeszcze paru ciekawych myśli i faktów.

Osobny rozdział poświęca autor traktowaniu wojny w nauczaniu. Podręczniki szkolne, powiada, nie są w tem znaczeniu pacyfistyczne, ażeby każdą wojnę oceniały jako bezsensowną. „Wskazują one, że z pojęcia państwa jako zorganizowanej siły narodu wynika samo przez się dążenie do rozprzestrzenienia, że przy tem narody nacierają na siebie i że często równouprawnione interesy i zagadnienia honoru narodowego nie mogą znaleźć innego rozwiązania, jak przez odwołanie się do miecza" (str. 62).

Czyli, innemi słowy, dzieci niemieckie uczą się, że jeżeli z naturalnego dążenia do ekspansji, tkwiącego w istocie państwa, może przyjść do wojny, to o ileż bardziej usprawiedliwioną może być wojna, gdy będzie chodziło o usunięcie „wielkich krzywd", jakie wyrządził narodowi niemieckiemu Traktat Wersalski, odbierając mu gwałtem „czysto niemieckie" prowincje.

Ale bądźmy spokojni, Dr. Reimann zapewnia nas dalej, że podręczniki niemieckie dalekie są od takiego podniecenia tendencyj wojennych i dążeń do odwetu, jakiemi przepojone były podręczniki francuskie po roku 1870. Przeciwnie, uczą one, że Niemcy nigdy nie byli narodem zdobywców, że „specjalnie kolonizacja wschodu odbywała się drogą pokojową". Wojna siedmioletnia, wojna z 1870 r. i światowa to były „wyłącznie" wojny obronne. Jeśli chodzi o ostatnią wojnę, to podżegaczami do niej byli Izwolskij i Poincaré. „Ręce Niemiec są czyste". Ale równocześnie dodaje: „Nasze zjednoczenie nie jest jeszcze skończone. Jesteśmy przekonani, że naród niemiecki musi się znaleźć razem w jednem państwie" (str. 64).

Wreszcie ostatni problem: jak ujęta jest nauka o Lidze Narodów? Jest ona wprowadzona do programów szkolnych. „Ale naturalnie" — dodaje autor — „nie można przytem pominąć milczeniem, że dotychczasowy istotny wynik jej działalności jest niestety bardzo mały". Dr. Reimann uważa to za rzecz naturalną: łatwo potężni członkowie robią z niej dyplomatyczne narzędzie swych dążeń do hegemonji. „Trudno nawet żądać od silnego, by on ze względu na jakąś polityczną ideologję rezygnował z części swej pełnej suwerenności i z politycznego wykorzystania danej sytuacji. Co więcej: problemy, które powstały z pierwotnego osiedlenia i późniejszych wędrówek różnych narodów, nie dadzą się rozwiązać w sposób zadowalający obydwie strony" (str. 68).

Czyli uczy się młodzież niemiecką: gdy będziemy silni, a trafi się korzystna sytuacja, rozstrzygniemy graniczne kwestje sporne, nie licząc się z ideologją pacyfistyczną. Ideologja ta i oparte na niej układy międzynarodowe będą napewno w odpowiedniej chwili dla tych młodych Niemców, w tym duchu wychowanych, takim samym „świstkiem papieru", jakim dla ich ojców był na początku wojny światowej międzynarodowy traktat o neutralności i nietykalności Belgji.

Ale młodzież niemiecka uczy się o Lidze Narodów czegoś więcej. Jej idea pozostaje „jak miłość chrześcijańska, etycznem dążeniem, moralnym postulatem" (str. 68). A tymczasem w rzeczywistości jest ona narzędziem „w rękach Francji". Ona narzuciła Gdańskowi polski skład amunicyjny, dopuściła do tego, że Polska osiągnęła protektorat nad Wolnem Miastem. „Nie uznała korzystnego dla Niemiec głosowania na Górnym Śląsku, tylko oddała Polsce wielkie, czysto niemieckie jego części" (str. 69). Po przytoczeniu całego szeregu innych zarzutów kończy Dr. Reimann uwagą, że przecież nikt nie może żądać, by w tych warunkach podręczniki niemieckie sławiły organizację, która służy przedewszystkiem pewnym wielkim potęgom, a „depce" interesy niemieckie.

Wreszcie podręczniki szkolne uczą młodzież, że głównem zadaniem Niemców na terenie Ligi Narodów jest: „Zjednoczenie wszystkich Niemców, osiadłych na zwartem terytorjum w jednem, wielkiem, niemieckiem państwie narodowem i prawo kulturalnego rozwoju dla wszystkich niemieckich wysp w środku obcych terenów" (str. 73).

Na końcu rozprawy powiada Dr. Reimann: „Kogo to przedstawienie sprawy nie przekonało o dobrej woli nauczycieli niemieckich służenia swą pracą idei pokojowej, temu nic nie pomoże" (str. 73).

Oto główne myśli rozprawy Dr. Reimanna. Gdy się ją czyta, nie wiadomo, co więcej zadziwia, czy ta bezgraniczna wiara we własne siły i wielka miłość ojczyzny, wytyczająca tak wyraźną drogę na przyszłość, czy perfidja w ujmowaniu zagadnień. A raczej może to nie perfidja. To ten niezmienny duch narodu, tak nam dobrze znany duch Geronów, Fryderyków, Bismarcków, który w nieskalanej, jak widzimy, czystości żyje dziś wśród współczesnych nam demokratów, republikanów, „pacyfistów" i urabia młode dusze przyszłych pokoleń niemieckich. Jest to duch, dla którego jedynem jest określenie „duch pruski".

Wyciągnięcie wniosków zostawiam czytelnikom. Należy pamiętać, że rozprawę napisał Dr. Reimann celem obrony wychowania w Niemczech przed zarzutami szowinizmu i nacjonalizmu. Jeżeli tak wygląda obrona, to jaką jest istotna treść podręczników, a co byłoby jeszcze ciekawsze, ale zarazem trudniejsze do zbadania: jaki jest istotny duch nauki w szkole?

Uważam, że obowiązkiem wszystkich, którzy wytyczają drogi wychowania naszej młodzieży, jest dokładne zaznajomienie się nie tylko z tem, co inni a zwłaszcza nasi sąsiedzi głoszą na kongresach międzynarodowych, ale także w jakim duchu pracują u siebie. Ułatwiłoby to nam, a zwłaszcza tym, którzy czują odpowiedzialność swą wobec własnego narodu i przyszłości, znalezienia właściwej drogi.

A ponieważ trzeba się liczyć z tem, że obce wpływy będą się starały wypaczyć nasze wychowanie i przepoić je mrzonkami pacyfistycznemi, by nas rozbroić duchowo, przeto obowiązkiem zwłaszcza obozu narodowego jest czuwać nad tem, by przyszłe pokolenie polskie należycie orjentowało się w istotnych warunkach życia, rozwinęło wszechstronnie siły narodu, a gdyby zaszła potrzeba obrony wolności, wydało z pośród siebie nie samych bezpłciowych „konsulów ludzkości", ale także Chrobrych i Zawiszów Czarnych.

J. HAJEWICZ

NAUKA I LITERATURA

DZIESIĘCIOLECIE PRASY POLSKIEJ 1918—1928 R.

PIOTR Gregorczyk, ceniony pracownik na niwie historji literatury i doskonały bibljograf, wydał p. t. „Dziesięciolecie prasy polskiej 1918 — 1928 r.“, (w odbitce z monografji „Dziesięciolecie Polski Odrodzonej“ Kraków), — cenną pracę, w której w treściwym i świetnym skrócie daje obraz prasy polskiej, wolnej od cenzury zaborców.

Na wstępie omawia kwestję, że o ile wogóle wiadome jest znaczenie prasy w życiu społecznem, narodowem i państwowem, to w naszych, przed wojną światową, politycznych warunkach, wpływ prasy był, względnie mógł być, czynnikiem o szczególnie doniosłej żywotności. To też nie wahał się imać dziennikarstwa Mickiewicz w wydawanej na emigracji „Trybunie Ludów“, a w kraju, w atmosferze niewoli, w której czasie w prasie powstała tylko swoim zrozumiała mowa tajemna, służyli tym narodowym i obywatelskim obowiązkom: Kraszewski, współpracownik „Gazety Warszawskiej“, Asnyk, redaktor „Nowej Reformy“, Sienkiewicz, współpracownik „Gazety Polskiej“, Prus, redaktor „Muchy“ i „Nowin“ i współpracownik „Kurjera Warszawskiego“ oraz Świętochowski, redaktor „Prawdy“, a obok nich „legjon innych, cichych bojowników, których trud spopiela czas w butwiejących rocznikach gazeciarskiej bibuły“.

Inne, nowe, z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, oczekiwały dziennikarstwo warunki bytu. Jeszcze pozostało w swej mocy prawnej poprzednie ustawodawstwo, i doraźnie miało być zastąpione przez nowe, własne. A z wydaniem i ustaleniem jednolitych dla prasy przepisów trzeba było się śpieszyć, gdyż nagle, jak z pod ziemi, powstało pół tysiąca nowych pism. Stan ten, co prawda, nie znamionował dalszego na przyszłość rozwoju prasy, a to wskutek jego zależności od polepszenia się czy pogorszenia sytuacji ekonomicznej, drożyzny, inflacji. P. Grzegorczyk wymowną w tym kierunku podaje statystykę. Pozatem wzrost prasy nie zawsze szedł w parze z poziomem jej moralności, jak i jej techniki, coraz bardziej zróżniczkowanej. Dziennik dostosowywał się do poziomu i tempa bieżącego życia, a jego wpływ jako finansowego przedsiębiorstwa bywał często ujemny, bałamutny, trujący i niszczący. Mały też stosunkowo procent przypada na czasopisma polityczno - społeczne, większość pełni rolę informatora, w formie jaskrawej. W roku 1928, wobec nakładu około 400 miljonów egzemplarzy, zaledwie 16 miljonów można naliczyć pism o charakterze poważniejszym. Pełna liczba pism z końcem 1928 roku wynosiła, wraz z filjami prowincjonalnemi: pism stołecznych 114, dziennego nakładu niespełna miljon, co, jak p. Grzegorczyk zauważa, jest znikomą ilością w proporcji do pism zagranicą. Tak naprzykład londyński „*Daily Mail*“ wydaje dziennie 1.500.000 egzemplarzy.

Jednakże ilość wydawnictw wykazuje, choć powolny, ale stały wzrost, tak pism polskich, jak i obcych w Polsce, „mniejszościowych“. Czasopism polskich w roku 1919 było wogóle 1059, a w 1928 roku 2231. Z tego polskich 867, zaś w dziesięć lat później—1849, ruskich z 11 wzrosło nieproporcjonalnie, (z wiadomych subwencyj) do 72, białoruskich z 6 do 16, rosyjskich z 15 spadło na 12, niemieckich z 56 urosło do 118, żydowskich z 76 do 134, hebrajskich z 13 spadło na 9, litewskich, (subwencjowanych z tych samych źródeł, co i ruskie,—przyp. nasz) z 2 wzrosło do 10. Drobne to zestawienie jakże jest wymowne tak dla stanu czasopiśmiennictwa polskiego, jak i „mniejszości“. Motorem rozwoju prasy był przeważnie interes partyj politycznych, albo też przedsiębiorstw finansowych. Przyczem zdarzało się, że gdy dziennik stał się przedmiotem handlu, było to równoznaczne z jego upadkiem. Przykładem tego jest „Słowo Polskie“ we Lwowie pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego i „Gazeta Lwowska“ pod redakcją Adama Krechowieckiego, wysoki poziom tych pism wtedy, przed wojną, a dziś w innych rękach.

Doskonale ujęta jest charakterystyka czasopism w różnych województwach, czasopism typowo prowincjonalnych w województwie śląskiem i pomorskiem, lub słabych pod względem prasowym, jak województwo wołyńskie, stanisławowskie i tarnopolskie, które nie mają ani jednego pisma codziennego.

W zestawieniu czasopism na pierwszem miejscu wymienione są wydawnictwa statystyczne, a cyfrowo wydawnictwa innych gałęzi życia społecznego. I tak istnieje około 40 pism medycznych, 30 poświęconych sprawom szkolnictwa, 15 prawniczych i sądowych, 20 technicznych, 50 handlowych i przemysłowych, 50 rolniczych i leśnych, 60 wydawanych jako organy różnych związków, 15 zajmuje się sprawami kobiecemi. W mniejszych ilościach czasopisma literackie, historyczne, filozoficzne, matematyczne.

Obficie przedstawia się prasa żydowska, wybitnie nacjonalistyczna. Dziennik „Moment“ w Warszawie posiadał w roku 1928 około 40.000 nakładu. Ponadto wydają żydzi 58 tygodników, 34 miesięczników i 3 kwartalniki. Wydawane są te pisma w żargonie, nakład ich wzrasta, zaś nakład wydawanych w języku hebrajskim zmniejsza się. Drugie miejsce liczebnością po prasie żydowskiej zajmuje prasa niemiecka. „Umiejętnie redagowana, silnie związana moralną i materjalną pomocą z Rzeszą Niemiecką“. Ogólnie posiada pism 118, najwięcej bo 44 w woj. śląskiem, 40 w poznańskiem, 13 w pomorskiem, 16 w łódzkiem, 3 w lwowskiem. Prasa ruska i białoruska zmniejsza się. Także i rosyjska. Za to prasa litewska wzrasta w sposób sztuczny, w rażącej dysproporcji do szczupłej ilości Litwinów w ziemi wileńskiej. Prócz tych wychodzi kilka jeszcze pism w obcych językach, a to dwa pisma czeskie i jedno francuskie.

Nadzwyczaj ciekawą w studjum p. Grzegorczyka jest rubryka „Prasa polska na obczyźnie“, a to w Niemczech, we Francji, w Ameryce, nawet w Chinach. Wskazywałoby to na potrzebę przybytku utalentowanych i narodowo czujących sił dziennikarskich. Duże w minionych czasach zasługi miała prowadzona przed wojną w Warszawie „Szkoła dziennikarska“.

Książka p. Grzegorczyka „Dziesięciolecie prasy polskiej od r. 1918 do 1928 r.“, a i obcej w Polsce i polskiej na obczyźnie, rozpoczyna niewielką dotychczas literaturę w tym przedmiocie. Jest zarysem przyszłej pełnej monografji, pracowitym, przejrzystym i pouczającym.

ANTONI WYSOCKI

NAGRODY

Sąd konkursowy nagrody naukowej m. st. Warszawy przyznał nagrodę naukową za r. 1929 z dziedziny nauk techniczno - matematychnych profesorowi W. Sierpińskiemu. Na temże posiedzeniu sąd konkursowy przyznał nagrodę naukową za r. 1930 z dziedziny nauk humanistycznych prof. Adamowi Antoniemu Kryńskiemu.

Sąd konkursowy nagrody artystycznej m. st. Warszawy, przyznał jednogłośnie nagrodę artystyczną za r. 1930, Leonowi Wyczółkowskiemu.

Nadawaną pierwszy raz nagrodę literatury Tow. literatów i dziennikarzy w kwocie 2.000 zł. otrzymał Piotr Choynowski za nowele.

RUCH WYDAWNICZY

Bardzo już, pomimo niedługiego czasu istnienia, dla polskiej kultury artystycznej zasłużony, znakomicie rozwijający się pod kierunkiem prof. Oskara Sosnowskiego, Zakład Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej, ogłosił ostatnio „Studjów do dziejów sztuki w Polsce“ tom pierwszy (Warszawa, 1929), zawierający trzy obszerne rozprawy: „Cerkiew św. św. Borysa i Gleba na Kołoży pod Grodnem“, pióra Michała Walickiego, „Centralne barokowe kościoły województwa lubelskiego“, pióra Jerzego Raczyńskiego, oraz „Strop z XVI w. kościoła w Boguszycach“ J. Przeworskiej i M. Walickiego. Monografja o cerkwi św. św. Borysa i Gleba na Kołoży, budowli bizantyńskiej, wzniesionej pod koniec XII stulecia, a interesującej przedewszystkiem ze względu na swą wyjątkową zupełnie, bogatą i pełną sma-

ku dekorację kaflową muru, zawiera równocześnie szereg interesujących uwag i wiadomości, dotyczących rozwoju i rozszerzania się budownictwa bizantyńskiego na ziemiach ruskich. Rozprawa druga opisuje trzy przedewszystkiem kościoły, a mianowicie farę w Chełmie, kościół św. Anny w Lubartowie i kościół po pauliński we Włodawie, wszystkie trzy zbudowane prawdopodobnie przez Tomasza Rezlera, stanowiące jakby odległe echo austrjackich kościołów barokowych na planie owalnym (np. znany kościół św. Karola w Wiedniu), aczkolwiek „wspólne zagadnienia przechodzą tu równolegle swoją niezależną ewolucję", przyczem, jak w farze Chełmskiej, powstaje „zespół swoisty, dla którego trudno o analogje, jednak, oglądany zbliska, bardzo przyjemny przy silniejszych skrótach". Opis pięknej polichromji stropu kościoła św. Stanisława w Boguszycach (pow. Rawski), kończy się wnioskiem, iż autorem tego nieprzeciętnego dzieła był artysta Polak, pozostający pod wpływem niemieckiego renesansu, prawdopodobnie wielkopolanin.

Cały tom wydany bardzo starannie i pięknie, ozdobiony szeregiem ilustracyj i plansz jednobarwnych i kolorowych

*

W broszurze Władysława Lichtorowicza „Fundusz kultury w Łotwie", — odbitka z XI tomu „Nauki Polskiej" Rocznika Kasy im. Misnowskiego, — pisze autor na wstępie, że fundusz kultury w Łotwie zawdzięcza swe powstanie temu, że naród łotewski posiadał własną kulturę, którą miłował i uprawiał, a która przez wojnę i niewolę została zniszczoną i wymagała odbudowy i rozwoju. — Z początku na ten cel ustanowiono dodatek do taryfy kolejowej i opodatkowano osobnym procentem sprzedaż alkoholu. Z biegiem czasu koszta działań Funduszu wstawiono w stałą rubrykę budżetu dla zaopatrywania narodowych potrzeb kulturalnych, także osobną pozycją w statucie Funduszu przewidziane są wydatki nawet „na badanie zagranicznych archiwów w sprawach Łotwy". Jak zaś dalece praca zarządu tej instytucji jest wydatna, okazuje się ze sprawozdania w kwestji bibliotek. Od czasu odzyskania niepodległości przez Łotwę, w kraju tym, w Łotwie, założono 657 bibliotek ludowych, 99 bibliotek szkół średnich i zawodowych, i 1465 bibliotek szkół powszechnych. Charakterystyczną cechą dbałości o całość kultury jest artykuł statutu, postanawiający udzielanie stypedjów aktorom. Narodowy charakter Funduszu przejawia się w jego działalności, między innemi jego agendami i w tem, że udziela finansowej pomocy Latgalji (Inflantom Polskim), celem wyrównania różnic kulturalnych i organicznego zespolenia tej dzielnicy z całością Łotewskiego państwa.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dwoje ludzi, mąż i żona, trochę dorobili się pieniędzy trochę odziedziczyli. Zebrawszy te oszczędności kupują w robotniczej dzielnicy w Paryżu, a mianowicie przy Quai de Jemappes, *„Hotel du Nord"*. On to posłuży p. Eugène Dabit za tytuł jego powieści, pozbawionej wszelkich efektów, a przepełnionej od początku do końca nadzwyczaj przejmującą szarzyzną życia. Nowi właściciele *„Hotel du Nord"* zwiedzają, przy pomocy dawnych, wszystkie ubikacje owego hotelu, pokój za pokojem. Wślad za nimi poznaje się i czytelnik z ich lokatorami i ich egzystencją również szarą, codzienną. Przeważnie są to pracownicy, którzy od rana do wieczora, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok niemal nie zmieniają swego trybu życia: zarabiają na przeżycie, przy święcie i niedzieli zabijają czas pójściem do kinematografu, jedzą i śpią; od czasu do czasu niemniej szara miłość przerwie, ale na krótko, to pasmo dni monotonnych. W książce swojej p. Dabit ze skrupulatnością i dokładnością opisał nie jedynie historję *„Hotel du Nord"* ale historję tylu innych jemu podobnych „przytułków" Paryża, czy też jego przedmieści, a zamieszkiwanych przez setki tysięcy ludności robotniczej. Nutą dominującą tej powieści, to pewnego rodzaju fatalizm: człowiek bowiem jest w niej przytłoczony tą egzystencją bez aspiracji, a w której, siłą rzeczy, walka o byt odejmuje ochotę i możność szukania innych dróg i wyzwolenia się od rutyny.

*

„Trois parmi les autres" (Plon édit.). Tę trójcę, pełną wdzięku i powabu stanowią Annociade, Antoinette i Suzon. Są to panny zupełnie nowoczesne, które pewne siebie i wzajemnej przyjaźni udają się wspólnie na wieś, zamierzając w posiadłości jednej z nich, spędzić sielankowe wakacje. I wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby nie zjawienie się w ich okolicy innej trójcy, ale niestety męskiego rodzaju. Koniec symbiozie, koniec życiu bez kokieterji, koniec wreszcie i przyjaźni. Kiedy bowiem zjawiają się ich partnerzy, tracą one kolejno na wesołości i swobodzie, gdyż w serca wszystkich wkrada się nieunikniona miłość. Ale jedna z nich pozostanie sama, nieszczęśliwa, opuszczona — to Antoinette. Pełna melancholji przyzywa minione dni, marzenia i nadzieje wreszcie zawiedzione, bo trzy młode bohaterki powieści pani Simone Ratel, jeżeli prowadzą zupełnie *moderne* życie, to jednakowoż posiadają stare jak świat uczucia, wykazujące, iż wola ludzka, a powiedzmy przedewszystkiem kobieca, kończy się zazwyczaj chwilą, w której zaczyna się miłość. Książka dobrze napisana i niepozbawiona ciekawych momentów psychologicznych i lirycznych.

*

Ukazał się niedawno zbiór sonetów pięćdziesięciu pięciu najznakomitszych poetów hiszpańskich. Przedmowę do zbioru, zatytułowanego *„Los poetas"*, napisał wybitny pisarz Edmundo Gonzáles Blanco. Zilustrował antologję pięknie Izquierdo Durán.

*

Cieszący się wielką popularnością powieściopisarz hiszpański José Maria Carretere, używający pseudonimu El Caballero Audaz ogłosił nową książkę p. t. *„La plegaria del deseo"* (Modlitwa pragnienia), na którą składa się trzy barwne i życiowe opowiadania.

SZTUKI PLASTYCZNE

METAFIZYKA SZTUKI

PROSZĘ nie przerażać się tytułem tego szkicu. Postaram się, żeby nie wymagał myślenia. Już mi zwrócono uwagę na nietakt, że zamiast pisać o sprawach bieżących zbyt często zapuszczam się w gąszcza myślowe. Spóźniam się, czy też wyprzedzam w modzie?... Od czasu do czasu zjawia się moda na myślenie, ostatnio — w latach pozytywizmu, ale teraz właśnie myślenie jest niemodne. Człowiek współczesny gotów na wszystko, byle nie myśleć. Widocznie zmęczył go wszelki demokratyzm, a zwłaszcza socjalistyczny, który powołuje tłumy do myślenia o polityce, socjologji, filozofji, religji Te zbiorowe tortury umysłowe już cel swój osiągnęły, co najjaskrawiej objawiło się w Rosji. Pod różdżką Mojżesza Rabinowicza zmuszony do myślenia Mastodont Ichtijozaurowicz stanął na głowie — dla dopływu krwi do niej z rozbestwionego cielska — i w odpowiednim do tej postawy stylu wprowadza „nowy ład" społeczny: socjalistyczny. W Polsce na głowie stają tylko bebechowi pechowcy. Ogół nasz jest umiarkowany, na rękach nie chodzi, ale myśleć nie chce, czem dowodzi, że wszystkie jego władze duchowe pozostają w nienaruszonym porządku przyrodzonym. Nie będę w tem idealny stan rzeczy wprowadzał zamętu.

„O, fizyko! Wybaw mnie od metafizyki!". — ten okrzyk Newtona mógłbym był postawić jako *motto* do tych szkiców, które zaczepiały o myślenie. Sądziłem przytem, że wstępuję na drogę rozumowań, którym nawet gimnazista podoła. Zamyślałem w szeregu szkiców podać fizyczny przekrój sztuki, łatwy do objęcia i przemyślenia, a pożyteczny w zastosowaniu. Fizyka i fizjologja, jeśli się nie mylę, należą do przedmiotów wykładowych w szkole średniej. Tak niewysoki mianownik naukowy w rozważaniach o sztuce mógłby bez trudu myślowego odsłonić dalekie widnokręgi artystyczne. Sądziłem przeto, że ratuję człowieka współczesnego od metafizyki, aliści dowiaduję się, że on już sam się uratował. I to jak genjalnym sposobem! Poprostu — nie chce myśleć... Że też nie przyszło to na myśl uczonemu! Miał słuszność Napoleon, kiedy w Egipcie, formując przed atakiem Arabów ekspedycję swoją w czworobok, zawołał: „Osły i uczeni w środek!"... No, i pomimo wszystko piszę nowy szkic pod tak okropnym tytułem, — cóż to ma znaczyć? Znaczy to, że metafizyka ma dwa znaczenia, a jedno z nich jest parawanem nicości. Kiedy krytyk się puszy, to znaczy, że nic mądrego nie powie. Góra stęka: maluczko, a ujrzycie mysi ogonek...

Moje, w poprzednim szkicu wyrażone, mniemanie o braku ducha w sztuce Wyczółkowskiego naraziło mnie na atak z czterech stron jego wielbicielstwa. Musiałem uformo-

wać się w czworobok z armatami po rogach, a sam z osłem, argumentami objuczonym, stanąłem w środku. Teraz gdy pierwsza furja ataku minęła, wyjeżdżam w piachy pustyni metafizycznej na moim Rossynancie, a za mną osieł z worem argumentów grubym, jak Sancho Pancha. Zobowiązałem się jednak nie splamić szkicu grzechem myślenia. Więc niech się włóczy za mną zdaleka ten poziomy sługa rycerza, ja obędę się efektowną włócznią Don Kichota. Że w blaskach słońca zachodzącego pali się na niej złoty płomyk Pallas Ateny, zaufam odblaskowi greckiego symbolu intuicji. W gruncie rzeczy myślimy zawsze metodą dedukcji. Nawet ten biedny człowiek współczesny w ucieczce swojej przed myśleniem umknął mu tylko dlatego, że zwalił je na własnych przodków, a sam żyje, jako cząstkowa tych pramyśli dekukcja. Że przytem utracił wolność, wygrał podwójnie, bo z dwojga rzeczy ciężkich nie wiem, co cięższe — wolność, czy myśl? Człowiek współczesny zapragnął być lekkim, i prowadzi się lekko, leciutko, jak piórko.

Nie zamierzałem oskarżać Wyczółkowskiego, ani go skrzywdziłem tym sądem, że sztuce jego duch nie przyświeca. Nie miałem tylko powodu do ukrywania myśli, przygodnie nawinionej. Jemu sąd mój nie zaciąży, a dla ulżenia czułym sumieniom jego wielbicielstwa, możnaby ciężar tego sądu rozłożyć na wielu pierwszorzędnych w sztuce malarzów. Czy Rubensowi, naprzykład, przyświeca duch? Jeszcze o to wojny w Europie nie było. Lecz nie szukajmy daleko. Przy całem rozpięciu różnic, które dzielą Wyczółkowskiego od Pankiewicza, dwa między nimi są podobieństwa: mistrzostwo techniki i brak ducha. Przodkowie za nich ducha mieli, a oni dwaj urodzili się, jako ostateczny, techniczny wynik tej duchowości filogenetycznej, jako forma z ducha pokoleń wyprowadzona. Urodzili się z tak doskonałemi narządami malarskimi — od głębnych nerwów ocznych do powierzchni brzuszczów dłonnych, — że wobec tej doskonałości odziedziczonej duch twórczy nosi się, jak robotnik metalurgiczny wobec arystokraty. Duch — to trzecia rzecz ciężka, obok wolności i myśli. I, w istocie, właśnie lekkość, właśnie czysta malarskość i wynalazczość techniczna, która obu tych artystów całkowicie pochłania, obu od ich twórczych rówieśników odróżnia. Skąd twórcy bieg swój rozpoczynają, tam leży meta stadjonu sztuki Wyczółkowskiego. Dlatego od początku do końca towarzyszy mu zachwyt widowni i pełne jej dla jego sztuki zrozumienie.

Dla przykładu porównajmy jeden z najlepszch obrazów Wyczółkowskiego — „Orkę na Ukrainie“ z „Ziemią“ Ferdynanda Ruszczyca. Wybieram umyślnie obrazy o dużych analogjach, a równej wartości malarskiej. Dzieło Wyczółkowskiego pozostało jednym z najlepszych krajobrazów polskich, dzieło Ruszczyca stało się symbolem pracy ludzkiej na ziemi i życia ziemi w przestworzach gwiezdnych. Dlaczego? U Ruszczyca niema przecie ani cienia literackości, temat ten sam, a w artyzmie żadnych zgoła ustępstw, czy bodaj napomknień na rzecz jakiegokolwiek myślenia. Obraz tak samo malarski, jak i „Orka na Ukrainie“. A jednak... Albo porównajmy „Sarkofagi“ Wyczółkowskiego z witrażem „Kazimierz Wielki“ Wyspiańskiego Oba dzieła jak wiadomo, powstały pod natchnieniem jednego i tego samego zdarzenia. Wyczółkowskiego porwało ono na szczyt artyzmu kolorystycznego, a przez Wyspiańskiego przemówiło piorunową grozą bożej twórczości. A oba dzieła jednako beztendencyjne, bez plamki literackiej. Albo porównajmy szeregi wnętrz i motywów architektonicznych Wyczółkowskiego z tą samą dziedziną dorobku Noakowskiego. Wyczółkowski pod względem techniki i barwy otrzymać może pierwszeństwo w tem porównaniu, a mimo to twórcą tu, duchem jest tylko Noakowski. Albo proszę porównać krajobrazy Wyczółkowskiego z krajobrazami Chełmońskiego, Stanisławskiego, a nawet najbliższego mu — Fałata. Można dobrać obrazy i tematycznie i artystycznie i technicznie równoległe, a zawsze po stronie współzawodników Wyczółkowskiego zostanie reszta, którą metafizycznie nazywamy duchem. Czem mianowicie jest ta reszta? Obiecałem nie męczyć człowieka współczesnego rozumowaniem. Niech mu Pallas Atene poświeci.

Skoro jednak już wjechałem na pustynię metafizyczną, nie zaszkodzi skorzystać z obfitości piasku i sypnąć jeszcze kilka garści porównań, ale z bezimiennych pagórków, niemal abstrakcyjnych. Czy to groźba myślenia? Nie. Będziemy dalej kręcili się w fejletonowej karuzeli tej drugiej metafizyki Istnieje coś, co gatunkowo różni najprzedniejsze obrazy Wyczółkowskiego od dzieł twórczych. Nazwijmy to poetycznością. Poetyczność (nie mówię „poezja“) — to właśnie duch w malarstwie. Poetyczność, która czasem przejawia się w dziełach technicznie niższych, a nawet artystycznie niższych od niejednego obrazu Wyczółkowskiego, zawiera w sobie pierwiastki, niedające się zmierzyć i zważyć, prawdziwe nieważniki sztuki, o których z tego powodu zaledwie bąkać możemy, jak niemowlęta. To coś, ta poetyczność — może to jest zasługa wysiłku osobistego? W Wyczółkowskim niema tego wysiłku: to dziedzic, który szczodrze rozdaje wokół fortunę ojców, lecz sam jej nie przysparza. To coś — może to otwarcie nowych wrót w słonecznej amfiladzie świątyń sztuki? Wyczółkowski przestąpił progi wrót nie przez siebie otwartych. Może to aureola modlitwy i bitwy samotnej na pustyni życia? Nad Wyczółkowskim ona nie świeci. On ma brawurę artyzmu i nieomylność techniki, które w porównaniu do twórczości czynią go tem, czem w muzyce jest doskonały wirtuoz w porównaniu do kompozytora, prawie zawsze w wirtuozji miernego. Tam technika przysłania ducha, a tu duch— technikę. Ta równość w doskonałości technicznej jest czemś w rodzaju pianioli. Zawsze pod tem siedzi mechanizm, automatyzm, jak w koronce fabrycznej, którą ręczna tem przewyższa, że jest niedoskonała technicznie i dlatego właśnie żywa i wzruszająca. Twarz ludzka idealnie symetryczna byłaby odstręczająco martwa pomimo idealnie pięknych barw, linij i proporcyj. Dziwna to rzecz, że niedoskonałość jest warunkiem doskonałości, ale nic na to poradzić nie mogę. To jest metafizyka.

Gdyby nie obawa przed najazdem tego osła, który trop w trop, chociaż zdaleka, podąża za mną, objuczony pękatym worem argumentów, mógłbym o jakie trzy kroki posunąć naprzód to zagadnienie przy pomocy uwag z zakresu fizyki i fizjologji sztuki — nauk, coprawda, nieistniejących. Ale i tu musiałbym się zgóry zastrzec, że po przewierceniu warstwy fizycznej znowu otworzy się pod nami otchłań metafizyczna. Zupełnie tak samo, jak w filozofji ogolnej w rozważaniach o budowie wszechświata. Po dociekaniach metafizycznych przyszła fizyka. Człowiek odetchnął nareszcie w świecie zamkniętym. Aż tu naraz poprzez chemję i znowu fizykę, ale już — drobinową, lecimy w otchłanie atomów, jonów, elektronów, eteronów — w białą, bezkresną mgłę nowej metafizyki, nadługo już — bez ratunku. Tak samo dzieje się z filozofją i fizyką sztuki. Wykręcamy się metafizyką od fizyki, ale fizyką od metafizyki wykręcić się nie zdołamy. Nie uczynię jednak ani kroku w tym kierunku. Poco nam niepokoić człowieka współczesnego? Czy nie lepiej oćwiczyć go jeszcze jednym dziesiątkiem porównań, żeby stracił resztę zdolności myślenia, spocił się, jak w łaźni rosyjskiej, a wyszedłszy zdrowo na świat, pomyślał z ulgą że myślenie wysusza, a taka łaźnia metafizyczna odświeża i znakomicie przyśpiesza czynności trawienne, co z kolei budzi oskomę do nowych ćwiczeń metafizycznych... — hę?

Ale to już w następnym szkicu metafizycznym, o ile nastąpi, bo to jednak dość rycersko wykręcać się taką łatwizną. Tak przynajmniej głosem zgnębionym utrzymuje sumienie uczonego, zamknięte w worze argumentów, jadącym na ośle, a pozostawione daleko poza fejletonową donkichoterją swojego pana.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

DOM KOBIET

WIECZÓR, spędzony w Teatrze Polskim na premjerze „Domu kobiet" Zofji Nałkowskiej, należy do nielicznych, które się wygrało na loterji teatralnej. Sztuka oryginalna w pomyśle i dobrze wystawiona (reżyserja pani Przybyłko-Potockiej).

Anegdota prosta. Pewna wdowa (Joanna Nielewiczowa— grała tę rolę p. Przybyłko-Potocka) zagryzała się aż do melancholji przez pół roku, że skrzywdziła nieboszczyka męża (Krzysztofa). Zmarł przekonany, że jest mu wierną niepodzielnie tak, jak na to zasługiwała jego miłość, tymczasem ona go w sezonie letnim gdzieś zagranicą zdradzała z jakimś cudzoziemcem, bez żadnej zresztą potrzeby serca. Cóż powiecie—pewnego dnia dowiaduje się (dziecko jego poboczne przyszło po alimenty), że ten ubóstwiony w zasadzie mąż żył z inną, a nawet zdradził i tę przed samą śmiercią na rzecz trzeciej.

Więc zagadnienie: czy to odkrycie ma wdowie przynieść ulgę, czy też jej stan pogorszy? To wszakże pewna, że niepodobna mężczyzny zdradzać dramatycznie, bo on zawsze zdradzi pierwszy. Istna komedja — ten jakiś mus seksualny! Wie się o tem zgóry, a jednak idzie się w miłość, jak w świecę. Zdrada jest taka pewna, jak miłość, ale w obu mężczyzna jest inicjatorem. Tyraństwo losu podwójne: i nie miłować ciężko i nie zdradzić, a z obojga nędzna pociecha.

Kobieta jest wieczną niewolnicą tego głosu krwi, który ją ściga wołaniem pokusy i rozkazu: Ewo — Ewo! To głos szatana-mężczyzny, odzywający się to tu — to tam, że nigdy niewiadomo, kiedy, gdzie i przez kogo kobieta będzie porwana. Wiekuiste trwanie egzogamji i wielożeństwa! Jakże znikome pole poliandrji!

Ale w sztuce scenicznej nie tyle wątek filozoficzny, czy socjologiczny jest ważny, ile walor artystyczny. Z niepospolitym talentem realistycznym Nałkowska maluje wnętrze wiejskiego domu, gdzie echa tych zagadnień życia znalazły dla siebie gościnę. Panią tego domu jest pani Marja Lanowa (Wanda Siemaszkowa), matka owej owdowiałej Joanny, także wdowa. Wróciła do niej również młoda córka Róża, która wyszła za Byleńskiego, ale mąż ją rzucił (Mila Kamińska). Przy córce i wnuczkach mieszka babcia Celina Bełska (Wanda Barszczewska) oczywiście wdowa. Więc mamy już cztery kobiety w trzech pokoleniach. Mało tego: Są jeszcze u Lanowej jakby na składzie—siostra jej Julja Czerwieńska (Honorata Leszczyńska) i bratowa Tekla Bełska (St. Słubicka), obie wdowy. Gdzież się miały podziać? Do tego służąca, przedstawicielka ludu, Zofja (J. Muncligerowa). Wszystkie w stanie biernym, oprócz dzielnej gospodyni domu, która je żywi. Czynna też jest złośliwa bratowa, która wszystkim dokucza. Zresztą kobiety zacne, ale pogaszone, bo nieużyteczne, — jak same mówią: nikomu niepotrzebne, zdeklasowane, bez etatu. W Polsce na stu mężczyzn przypada zdaje się 107 kobiet. Te siedem, które wymieniłem, to właśnie ta nadwyżka kobiet bez etatu.

Autorka znakomicie postawiła na nogi od początku siedem postaci kobiecych, z których każda jest inna, każda prawdziwa i wykończona indywidualnie. To jedno, gdyby nawet teza była wątpliwa i rozwiązanie szwankowało, stawia autorkę w rzędzie niepospolitych dramatopisarzy. Probierzem prawdy psychologicznej jej typów jest to, że tak świetne znalazły ucieleśnienie w artystkach. Był to przytem popis artystycznych sił kobiecych dawno nie widziany. Ze wzruszeniem słuchano przepięknej dykcji p. Barszczewskiej, która wskrzesiła zapomniane tradycje; radowało się oko widokiem gry p. p. Leszczyńskiej i Siemaszkowej. Panie te witane były owacyjnie.

Wszystko to razem potęgowało urok sceny i nie pozwoliło patrzeć chłodno na wartości literackie, ile one same w ogólnem wrażeniu ważą. To jednak trzeba powiedzieć, że efekt literacki autorka osiągnęła metodą powieściopisarską, w której jest biegła. Właściwie mówiąc, przez całe niemal trzy akty trwa charakterystyka, bardzo interesująca, więc z przyjemnością ją śledzimy, ale to jest studjum powieściowe statycznej strony tego kobiecego domu. Tam nic się nie dzieje poza tem, że kobiety się dręczą wspomnieniami, a cienie za niemi mają kształt zmarłych mężczyzn, których niegdyś były własnością. Są to w tym domu bab nieustające „dziady" litewskie. Niewidome grają na scenie cienie zmarłych; one jeszcze są siłą czynną przez tęsknoty i pamięć. Stan bierny nie może wydać z siebie akcji dramatycznej, a to, co się zdarzyło z dziewczynką, która przyjechała po pieniądze— to piorun z tamtego minionego nieba, czysto zewnętrzny. Autorka umiejętnie zaniepokoiła nim swoje gniazdo, więc mieliśmy sensację, ale nie dramat.

My widzowie byliśmy w tym domu pierwszy raz, ale jeżeli pomyślimy, że te kobiety nie dla nas specjalnie, t.j. nie z powodu zdarzenia, które tego dnia się stało, lecz stale co dzień, miesiące i lata całe nic innego nie robią, tylko przeżuwają swoje boleści i wzajemnie się charakteryzują, jakby się pierwszy raz widziały, wtedy pryska złudzenie dramatu. To nie są dzieje dnia specjalnego, indywidualnego przeżycia dramatycznego, to jest zebrana w jedno miejsce charakterystyka tła życiowego.

Gorzej jest z pierwiastkiem poetycko-filozoficznem. Niepotrzebne było zakończenie obrazu realistycznego poetyckim symbolem owego głosu Adama, szukającego Ewy. Bo — powiedzmy krótko: gdyby dziewczynka dostała pieniądze ze spodziewanego po ojcu spadku, toby nie poszła za pokuszeniem szatana. Tylko nuty zasadnicze duszy mają moc życia w sztuce. Tutaj jest coś połamanego. Zdaje się, że w poezji potrzebna jest wiara w życie, wypływająca, jak hymn, z dobrego samopoczucia się w stylu swojej cywilizacji. Nałkowska pochodzi z generacji, która o stylu Arjów zwątpiła. W tej generacji łamały się dwa sprzeczne typy cywilizacji; ludzie oświeceni budowali się eklektycznie, biorąc z każdej potroszku.

Ponieważ linja przełamania przypada na to miejsce, gdzie kobieta i rodzina, więc tu zamęt i pesymizm, jakoby kłamstwo leżało w podstawie ustroju, opartego na rodzinie. W twórczości widzimy jeszcze, jak u Nałkowskiej, rozpęd brany z matek, które były stylowe. Te matki są jeszcze z czułością traktowane (jak stara Bełska), ale w przyszłość myśl biegnie coraz mniej pewna, bez żadnej wiary w możność dotrzymania kroku prawdzie. To samo miał Żeromski, którego wpływ na autorkę „Domu kobiet" jest widoczny. Ta łamana linja będzie charakterystycznym rysem pokolenia, które dosięgło naszych czasów na fali schyłkowej, wieku poprzedniego.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Conrad Joseph. Smuga cienia. Warsz. 1930. Dom Ks. Pol.

Żmichowska Narcyza. Poganka. Warsz. 1930. Dom Ks. Pol.

Wojciechowski Zygmunt. Sądownictwo prawa polskiego w dobie przedimmunitetowej. Lwów 1930. Tow. Naukowe. Str. 130.

Wojciechowski Zygmunt. Ze slawistyki i badań nad wschodem niemieckim w Niemczech. Lwów 1929. Ossolineum. Str. 28.

Pękosławski Jan. Dla potomności (1919 — 1926). Warsz. 1929. Nakładem autora. Str. 147.

Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny. Poznań 1930. Zeszyt I. (jubileuszowy). Str. 213.

Januszewska H. Dom na wyspie (Poezje). Warsz. 1930. F. Hoesick.

Chwalibóg Feliks. Aforyzmy i refleksje. Serja trzecia. Kraków 1930. Gebethner i Wolff.

Pamiątka jubileuszu Józefata Andrzejowskiego. Warsz. 1930. Nakładem Komitetu jubil. Str. 56.

OFENSYWA

OWACYJNE ZAŁGIWANIA SIĘ

BEZWSTYDNI, poprostu bezwstydni, bezczelni i bezwstydni są ci ludzie w reklamowaniu się. Poprostu nie znają żadnych granic, żadnego umiaru, żadnego poczucia śmieszności ni poczucia przyzwoitości. Solenizanci. Im większa nienawiść i wzgarda do tych band „zwycięskich“ wzrasta w kraju, im bardziej w spojrzeniach otaczającego społeczeństwa czytają, nie ukrywaną już, odrazę, tem nahalniej i napastliwiej wychwalają swoje cielce złote, swe byki Apisy, swoją klikę, klakę i kloakę, swych szampionów i przebojowców. Ostatnio mamy przed sobą wiązankę takich wrzaskliwych i ordynarnych auto-adoracyj.

Ten taki Kaden jedzie do Estonji, gdzie polecono go zaprosić tamtejszemu Penklubowi. W hotelu, gdzie zapocony wszędobylski staje, każe sobie wywiesić na bramie sztandar polski! Po powrocie stamtąd wali o sobie bez żadnej ceremonji olbrzymi fejleton, w którym ze łzami w oczach zeznaje, jakim to objektem owacyj był w Tallinie, jak go na rękach noszono, jak mu konie odprzęgano od auta, jak go fetowano i obsypywano różami papierowemi, wszystko oczywiście *ad maiorem Primo de Brigady gloriam.* Daje do zrozumienia, że rada ministrów i sztab generalny odprowadziły go *in corpore* na stację.

Generał Górecki, wkręcony do „Fidacu“ jedzie do Paryża i wygłasza na zjeździe byłych kombatantów blagierską orację reklamową. Poczem dyktuje „Patowi“, co go tam spotkało. Publiczność wstała. Kombatanci wzięli go na bary i oprowadzali po bulwarach przez dwie godziny. Po mowie zażartego karjermachera zarzucono go oklaskami.

Oklaski rozbrzmiały ponownie, gdy przewodniczący p. Granier, prezes Federacji b. Kombatantów Francuskich dziękował w gorących wyrazach gen. Góreckiemu za jego świetny odczyt. Na sali widać było kilkuset przybyłych na kongres delegatów poszczególnych federacyj, z których niejeden podchodził do generała Góreckiego i mu gratulował. Znalazł się wśród nich i ksiądz, były kombatant, którego dziadek po matce był Polakiem, emigrantem z r 1830, który ze łzami w oczach wyraził swą radość z pomyślnych rezultatów, które osiągnęła Polska w ciągu ostatnich 4-ch lat swojej rozbudowy gospodarczej. Na drugi dzień wizytowało go trzech byłych prezydentów, dwóch marszałków, śpiewak Chevalier odśpiewał przed jego hotelem arję o „komendancie“, a orkiestra opery paryskiej odegrała Brykadę. Na kolej odprowadziło go pół Paryża, wojsko prezentowało broń.

Sieroszewski w Paryżu przybył na Akademję solenizancką po wypadku samochodowym i wygłosił przemówienie. Zebrani zgotowali Sieroszewskiemu huczną owację, dając wyraz radości, że znakomity pisarz uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa życia.

Jellenta znowu bawił w Rumunji, gdzie... położył podwaliny... pod zbliżenie kulturalne polsko-rumuńskie. I oto wyranżerowany już 10 lat temu podstarszy kabotyn-grafoman pisze sobie w „Gazecie Zbrojnej“ czy gdzieś tam znów olbrzymią autoreklamę. Wygłosił trzy odczyty, między innemi o panu Piłsudskim jako pisarzu i mówcy (*sic!*). Była „najlepsza publiczność“, księżna Cantacuzeni, Pen-club i t. Przyjmowany był też „owacyjnie“.

Na bankiecie pożegnalnym, wydanym na cześć „polskiego pisarza“, wygłosili niezwykle sympatyczne przemówienia przedstawiciele wszystkich związków literackich i intelektualnych w Bukareszcie, znakomici poeci, powieściopisarze i dramatopisarze i starali się w sposób niezmiernie serdeczny nadać cyklowi odczytów Jellenty charakter ważnego etapu na drodze kulturalnego zbliżenia Rumunji i Polski.

Na wysokości zadania stanęła prasa bukaresztеńska, niewyłączając obcojęzycznej, która w trzydziestu przeszło większych artykułach i notatkach podnosiła zalety i znaczenie prelekcji.

„Gościa z Polski“ na dworcu kolejowym żegnała cała rodzina królewska w komplecie, z królową Marją na czele, dalej episkopat prawosławny z archimandrytą Michałem, wreszcie admiralicja , rada miasta Budapesztu i delegacja z Siedmiogrodu.....

Jak łżeć to już na całego, bez żadnego hamulca, obłędnie, opętańczo. To już wszystko jedno i nikogo nie podrażni ani nie zdziwi. Kaden w Estonji, Jellenter w Rumunji, tamci znowu w Paryżu przyjmowani są „stale“ entuzjastycznie, „owacyjnie“. Publiczność na bulwarach szaleje z radości poprostu na sam widok generała Góreckiego idącego z Sieroszewskim. W salach, gdzie mają prelekcje propagandowe z reklamami Piłsudskiego, zawsze ścisk i oklaski „niemilknące“, spontaniczne.

W rzeczywistości rzeczywistej przedstawiają się te błazenady laufrów i agentów pana P. znacznie skromniej. Schodzi się, złazi się garść czy kupa rodaków, kilka sztuk spędzonych, sproszonych, zwabionych to Estończyków, to Rumunów, to łazików i chodzików paryskich, garść autochtonów związanych interesami z Polską i odbywa się „akademja“ czy też odczyt, w którym taki Górecki, Kaden, Jellenter czy Sieroszewski zobowiązany jest tyle a tyle razy wymówić wplątane nazwisko Piłsudskiego oraz wytłumaczyć publice, że „talerz z ekskrementami“, to nie jest talerz z ekskrementami, tylko to są owoce z ogrodu Hesperyd czy frukta podzwrotnikowe czy południowe.

W erze imienin cała owa liberja sowicie futrowana dyspozycyjnemi funduszami dostaje formalnej *rabies servilis*, wścieklizny służalności. Wszystkie te Kadeny, Góreccy, Anusze, Oppmany, Jellentery, ten Kochanowski zramolizowany doszczętnie, ten Ulanowski grafoman bez pieredyszki, ten Szymansio figura z komedji Kaweckiego, ten Ehrenberg bawiący się w polskiego Katkowa, ten Lipiner lizus zapracowany, ten Rżymawski *Tartaffe* dyktatury, ten Przedświtalski czychający na Bartla, ten biedny Lajkonik Lechonik no i wogóle cały ten grasujący świat nefas-cyzmu polskiego, safandulskiego absolutyzmu i paralitycznej dyktatury wpada poprostu w jakiś stan epileptyczny. „*Die ewige Szczeniakerei*“ wyje do księżyca aż uszy bolą i więdną.

W tym roku o s t a t n i m przeszli już sami siebie. Co bredził po małopolsku ten Kochanowski, co bluźnił ten musztardziarz Oppman, co wypisywał ten Rzymowski, to kiedyś z innemi dokumentami patologji „narodu idjotów“ skolekcjonują pewnie w grubej książce. Tytuł tej książki będzie: „T a l e r z z e k s k r e m e n t a m i“. Stron 800.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Nasi „konserwatyści“, jeżeli można tak zwać zawodowych ugodowców, mają w swoim zawodzie służalczym chwile prób. Także stawiają przed sobą talerz aktualności politycznej, aby stoczyć ze sobą bohaterską walkę: a więc spróbuj! I zawsze z tej walki wychodzą szybko i zwycięsko. Nazajutrz po ogłoszeniu wynurzeń Piłsudskiego, „Czas“ krakowski drukuje na pierwszej stronie takie oświadczyny: (nr. 65 z 21 marca).

„Zestawienie poglądów Piłsudskiego z poglądami np. Kalinki jest wręcz uderzające“... Biedny ks. Kalinka!

„Czyż trzeba uzasadnień, że szczebel politycznego wysiłku narodu, zdobyty przez szkołę krakowską, wyraził się również w istotnych tezach w filozofji społecznej Piłsudskiego?“ I kończy. „Tak stapiają się cenne kruszce pokładów ideologji narodowej w pomnik dzieła i myśli Piłsudskiego. Naród poznać sam siebie m u s i w pomniku tym, jako w o d b i c i u w ł a s n y c h e t y c z n y c h i s p o ł e c z n y c h w z o r ó w“. Konserwatyści — jak widzimy — już nie próbują, ale spożywają żarłocznie. Nawet innych częstują.

*

Omawiając sprawę dostarczania trupów żydowskich do prosektorjów, żydowski „Nasz Przegląd“ (nr. 85) wpadł na pomysł, zadziwiający poprostu chamstwem i cynizmem. Oświadczywszy mianowicie, iż uchwała Senatu Akademickiego, uzależniająca pracę studentów żydów w prosektorjach od dostarczania przez nich materjału sekcyjnego jest „krzywdząca“ i wytwarza stan „nienormalny“, zaleca... kupowanie zwłok przez zakłady anatomiczne (proponuje nawet cenę — 300 zł.), dodając sentymentalnie: „Owe 300 złotych mogą stanowić pewnego rodzaju asekurację, a częstokroć ratunek od śmierci głodowej dla wdowy i dzieci po jakimś nędznym robotniku czy wyrobniku“.

Nie, żydy! Tego nigdy nie będzie! Nie wszystko jeszcze można kupić za pieniądze i zwłoki członków rodziny nie staną się „dla wdów i dzieci“, nawet „najnędzniejszych“, przedmiotem handlu, wyprzedawanym niczem starzyzna na podwórkach. Urzeczywistniajcie swój znakomity pomysł „we własnym zakresie“, o ile chodzi o dostarczanie trupów żydowskich. O nic więcej przecież nie idzie. Chrześcijanami się nie kłopoczcie...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM